

PO WĄSKICH
ŚCIEŻKACH

Wojciech Poraj

PO WĄSKICH
ŚCIEŻKACH

opowiadania
i
proza poetycka

Copyright © by Wojciech Wilczyński

Projekt okładki: Krzysztof A. Górecki

Wydanie III, zmienione i rozszerzone
Warszawa 2022

Skład, druk i oprawa:
Dział Wydawnictw IERiGŻ PIB
00-002 Warszawa
ul. Świętokrzyska 20

ISBN 978-83-7658-480-5

*Od autora:
Przepisu na dobrą książkę nie znam,
natomiast wiem,
że istnieje prosta formuła na napisanie złej.
Według niej, pisząc, należy dokładać starań,
by spodobała się wszystkim.*

Wojciech Poraj to pseudonim. Nazwisko autora:

Wojciech Wilczyński.

Na stronie autorskiej www.wilczynski-nowele.pl, prowadzonej w językach polskim i hiszpańskim, znajdziecie Państwo ebooki – książki w wersjach pdf, mobi i epub:

NIE PROŚCIE O WYBACZENIE – opowiadanie kryminalne

PO WĄSKICH ŚCIEŻKACH – zbiór opowiadań

NIEDAWNO W ROYAN – zbiór opowiadań

EMILIA GRANICE MIŁOŚCI – romans

TAJEMNICA WIATRAKA – opowiadanie kryminalne

oraz liczne opowiadania, reportaże i prozę poetycką.

Na **YouTube**, na kanale: **wojciech wilczynski nowele** można odsłuchać kilkadziesiąt audiobooków. Lektorami są Beata Niedziela i Jacek Zdrojewski, aktorzy Bałtyckiego Teatru Dramatycznego w Koszalinie.

Na kanale należy kliknąć w logo (zdjęcie autora), następnie w „przesłane filmy” – opcja „sortuj wg” pozwala dokonać wyboru pozycji: najpopularniejszych, najnowszych lub najstarszych.

NADZIEJA

Polak, warszawiak z Mokotowa, porucznik baonu Zośka, po upadku powstania warszawskiego znalazł się na robotach w Norymberdze. Ciężko pracował na kolei. Nastął listopad 1944 roku. Wojska hitlerowskich Niemiec wycofywały się na wszystkich frontach. Więźniom oflagu Niemcy przestali regularnie wydawać posiłki. Ich żołnierze również otrzymywali zmniejszone racje żywnościowe.

Późnym popołudniem nastąpiło coś, co rozbudziło w nim wiarę i nadzieję. O tym, co zdarzyło się pewnego listopadowego zmierzchu powiedział tak:

„Było straszliwie zimno i wiał wiatr. Naprawialiśmy tory, pracując w tak dużych odstępach, że nie widzieliśmy siebie. Straszliwie przemarznięty, wycieńczony i głodny nie miałem siły wbijać kilofem długich gwoździ w drewniane podkłady. Usiadłem na torach. Zaczął padać śnieg. Jego duże płatki wirowały wszędzie i po krótkiej chwili wszystko wokół pokryła śnieżna biel. Łokcie wsparłem na kolanach, twarz przysłoniłem dłońmi. Oczy miałem zamknięte. Rozpocząłem modlitwę, choć nie widziałem dla siebie ratunku. Byłem u kresu sił.

I wtedy, w jakimś półśnie, ujrzałem moją mamę Łucję. Pamiętałem ją tylko z fotografii. Zmarła podczas epidemii tyfusu w Wilnie, w 1925 roku, gdy miałem zaledwie roczek. Lekko uśmiechała się do mnie. Pograżony w rozpacz zwróciłem się do niej o pomoc. Nie wiem, jak długo trwała modlitwa. Gdy otworzyłem oczy, na moich kolanach ujrzałem duży bochenek ciepłego, świeżego, jeszcze pachnącego chleba. Popatrzyłem wokół – nadal samotnie

siedziałem na torach, a w zasięgu wzroku nie było widać nikogo. Świeży śnieg pokrył równą warstwą całą okolicę. Nie zobaczyłem na nim śladów niczyich stóp. Byłem wciąż sam. Zrozumiałem, że stało się coś bardzo ważnego. Rozpłakałem się ze wzruszenia i radości. Cały drżałem. To był znak. Mama była przy mnie. Wiara dodała mi sił".

To zdarzenie miało miejsce naprawdę. Dwa tygodnie później mój ojciec uciekł z obozu. Pojechał pociągami jadącym na zachód, udając przeziębionego Francuza, któremu choroba zaatakowała struny głosowe. Nie znał francuskiego. Szczęśliwie dotarł do Anglii. Do Polski wrócił w kwietniu 1947 roku. Zszedł ze statku w Gdyni, mając na sobie mundur oficera Drugiego Korpusu generała Władysława Andersa.

ŚNIEG W NOWY ROK

Bezśnieżne Święta Bożego Narodzenia w 2013 roku nie były wyjątkiem. Pięć lat wcześniej w końcu grudnia roku 2008 Święta Bożego Narodzenia również odbyły się w scenerii pozbawionej białej skrzypiącej szaty, bez nieskończonej bieli, która zwykle o tej porze rozpościerała się po z lekka pofałdowany mazowiecki horyzont. Przenikliwy chłód bezśnieżnych grudniowych dni i nocy odmieniło nadejście Nowego Roku. Zima rozchyliła przestwór nieba – majestatycznie spływające płatki śniegu spowity wszystko dookoła. Świat w jednej chwili stał się bogatszy i piękniejszy. Nocą dachy domów rozświetliły migocące gwiazdy. Drzewa lasów i pól, krzewy i zarośla, odziane w puchową biel rozjaśniły swe oblicza. Zima przyszła nagle, a wraz z nią nastał oczekiwany od dawna spokój. Przyroda znów wprowadziła ład i porządek, podtrzymała naszą wiarę w nadrzędność jej praw.

Pory roku, wyraźnie zaznaczone przez naturę, są czymś bardzo ważnym. Przyjście kolejnej z nich przyjmujemy z ulgą. Zima, która zawitała w Nowy, 2009 Rok, upewniła nas w przekonaniu, że nasza mała Ziemia niezmiennie realizuje plany wyznaczone jej przez ogarniający ją wszechświat. Pozornie niewiele znaczące śnieżynki wirujące wokół, są rzeczywistym potwierdzeniem świata, który towarzyszy nam od dzieciństwa, symbolem jego stabilności. Zima za oknem jest znakiem odwiecznego porządku, którego jakby brak w pędzącym w nieznanie świecie jej mieszkańców.

Człowiek, niepewny trwałości swojego miejsca, wprzęgnięty w bieg nieprzewidywalnej cywilizacji, zwraca się z nadzieją ku naturze, oczekując, by przynajmniej ona zapewniła mu tak

potrzebną pewność reguł obowiązujących na ziemi. I ma do tego prawo – jego życie jest zaledwie mgnieniem jej historii.

Cieszymy się śnieżną zimą, która nadeszła w Nowy Rok. Przywróciła wiarę w prawa natury, które regulują wszystkie sfery życia na naszej planecie. Wezwała nas do zachowania harmonii i nadania właściwej wagi sprawom, którymi żyjemy na co dzień.

PRZYPADEK PANA GRACJANA

Krynica Górská cieszyła się zawsze wielkim powodzeniem. Ściągali tutaj wielbiciele narciarstwa i gór, Jana Kiepurę, zdrojowych wód mineralnych. Ten kurort, bardzo popularny w okresie międzywojennym, nadal jest idealnym miejscem do nawiązywania nowych znajomości, także w sferze biznesu i... nie tylko.

Znalazł tu swoje miejsce na ziemi pan Gracjan. Był w swoim żywiole. W Krynicy stale coś się działo – koncerty, recitale, festiwale, liczne rocznice, ciekawe wydarzenia kulturalne. Stwarzały one panu Gracjanowi nieustanne okazje do redagowania i oferowania wyjątkowego towaru – kart z okolicznościowymi, wymyślonymi przez niego stemplami. Starzy bywalczy Krynicy rozpoznawali na deptaku przed Domem Zdrojowym postać pana Gracjana i nabywali te kartki, by móc udokumentować potomności swoje uczestnictwo w tak ważnych wydarzeniach. Pan Gracjan był postacią oryginalną i kontrowersyjną. Wyróżniał się ekstrawaganckim wyglądem i niespotykaną retoryką.

W pamięci kryniczan zapisał się szczególnie z powodu jednego zdarzenia i nie miało ono nic wspólnego z zamiłowaniem do kolekcjonerstwa kart i stempli.

Miał zwyczaj, sprawdzony zresztą, planowania wszystkiego na wyrost. Gdy dowiedział się, że cierpi na nieuleczalną chorobę, wiedział od razu, co należy zrobić. Udał się natychmiast do znanego w Krynicy zakładu pogrzebowego i zamówił dla siebie okazałą, ozdobną trumnę. On, właściciel trzech działek w mieście, nie będzie przecież zdawać się na niepewny wybór przez rodzinę tak ważnego przedmiotu, gdy on sam nie będzie już

mógł wyrazić swojego zdania. Chwalił się, że nigdy nie zostawia spraw niezakończonych.

Rodzinie, przyjaciołom i znajomym oznajmił:

– Nabyłem solidną, inkrustowaną trumnę, z pięknymi okuciami, żeby córka i konkubina ze stolicy, która odwiedza mnie w sezonie, nie miały kłopotu.

Na trumnę pieniędzy nie żałował, posiadała wymyślne złote ozdoby, rączki o eleganckich stylowych kształtach. Wykonano ją z solidnego dębu. Po dwóch tygodniach trumnę przywieziono pod wskazany adres – domu, w którym mieszkał. Pan Gracjan uznał, że najlepszym miejscem na jej przechowanie będzie przedpokój we własnym mieszkaniu. W tym miejscu można popisać się nowym nabytkiem przed znajomymi, a i własne oko nacieszyć – pomyślał.

Czas upływał, a trumna stała sobie w przedpokoju, jakby była nieodzownym meblem użytkowym. Konkubina z trudem zaakceptowała jego decyzję. Żaliła się, że Gracjan jest dumny z zakupu i nie chce przenieść przedmiotu swej chluby w inne miejsce. Goście na widok trumny stawali w drzwiach, jakby ich piorun strzelił – czegoś takiego nikt się nie spodziewał. Pierwszą ich myślą było pytanie: czy na pewno pusta? Uroczyste posiłki stawały im w gardle. Tymczasem pan Gracjan wciąż czuł się nie najgorzej i wyglądało na to, że jest w lepszej kondycji niż przedmiot jego dumy.

Nie upłynął rok, gdy z trumny zaczęły wydobywać się coraz głośniejsze odgłosy, jakieś podejrzanego stuknięcia i trzaski, czasem w samym środku nocy. Szczęśliwy jak dotąd właściciel tego pełnego tajemniczego uroku przedmiotu, zaczął w końcu zastanawiać się nad źródłem owych dźwięków – nie mogły przecież pochodzić od niego, skoro jeszcze w trumnie na stałe nie zagościł!

Konkubina pośpiesznie wróciła do stolicy. Wkrótce do dziwnych dźwięków doszły jeszcze nieoczekiwane efekty wizualne. Trumna zaczęła przybierać niespotykane kształty – deski rozpierały deski, powiększały się szpary i szczeliny.

Do świadomości pana Gracjana dotarła straszna prawda. Przedmiot jego przedwczesnych, jak się okazało zabiegów, rozsechł się w taki sposób, że zmienił kształt, i o zgrozo, nie nadawał się w końcu na miejsce wiecznego spokoju. Widząc, jak ogromna dotknęła go strata, nie namyślając się dłużej, pobiegł pan Gracjan do owego renomowanego zakładu pogrzebowego, gdzie złożył reklamację na piśmie. Jej dokładnej treści nie znamy, ale musiała być dziełem literatury w swoim rodzaju:

„Ja, właściciel i użytkownik trumny, nabytej dnia... niniejszym oświadczam, że...”

Sprawa rozniosła się po Krynicy szerokim echem, wzbudzając powszechną radość i śmiech. Pan Gracjan tej wrzawy nie rozumiał. Został przecież, z pewnością nie jako pierwszy, nabity w butelkę – a raczej w trumnę! Jako niezłomny trybun tych, którzy już nie byli w stanie poskarżyć się na fuszerkę zakładu pogrzebowego, wystąpił z pozwem sądowym w przedmiotowej sprawie.

Reklamację ostatecznie odrzucono, bowiem sąd przychylił się do stanowiska strony pozwanej, która podniosła koronny argument:

„Wina leży po stronie powoda, gdyż zakupiony towar nie był właściwie eksploatowany”.

GDZIE JEST DZIADEK?

Witek, wówczas szesnastolatek, często spotykał się z kolegami w kawiarni Mercers przy ulicy Chmielnej. Wraz z grupką przyjaciół stali się stałymi jej bywalcami, dobrze znanymi obsłudze. Wpadali do kawiarni co najmniej trzy razy w tygodniu.

Nie przeszkadzało im, że przesiadywali tam ludzie w różnym wieku, o kontrowersyjnych poglądach, a nawet nieco podejrzanym wyglądem. Siadali w swoim gronie i zwykle przy tym samym ulubionym stoliku. Zaobserwowali, że oprócz nich w kawiarni przesiaduje starszy pan, którego wszyscy nazywali „Dziadkiem”. Ów Dziadek od czasu do czasu podchodził do gości i trzymając w ręku pudło z szachami, proponował partyjkę. Stawka, którą oferował, wahała się od dziesięciu do piętnastu złotych, w zależności od statusu gościa – wieku i wyglądu.

Dziadek zwykle znajdował chętnych do gry. Po rozpoczęciu partii wielu gości kawiarni, trzymając w ręku kufel z piwem, colą, czy aromatyczną kawą, podchodziło, by sobie z boku popatrzeć na jej przebieg. Deklarowali, że są właściwie niezainteresowani, ale ciekawość brała górę. W końcu uwaga niemal wszystkich bywalców kawiarni skupiała się na szachownicy. Kelnerka siedziała beczynnie, a barek zamierał. Przechodnie patrząc z ulicy przez witryny kawiarni i widząc w środku jakieś dziwne zbiegowisko, rezygnowali z wejścia. Dopóki toczył się szachowy pojedynek biznes przestawał się kręcić.

Starszy pan nie miał sobie równych i wciąż był niepokonany. Od wielu miesięcy wygrywał wszystkie mecze, a jego przeciwnicy odchodzili od szachownicy, zaznawszy gorzkiej porażki. Czasem

pojedynek trwał zaledwie parę minut. Dziadek nie opuszczał kawiarni bez kilku wygranych, a jego dzienne przychody sięgały czasem stu złotych. Dzielny Dziadek, żartowano, dorabia sobie do renty bez wiedzy fiskusa.

Na początku jego obecność nie przeszkadzała obsłudze i właścicielowi kawiarni. Kiedy jednak Dziadek zadomowił się na dobre, doszło do kilku nieporozumień i skarg na Dziadka. Przerwy w konsumpcji wydłużały się, a obroty spadały. Zaczęto zastanawiać się, jak go zniechęcić do odwiedzania kawiarni. Niczego jednak nie wymyślono, a niezłomny starszy pan dalej triumfował. Przesiadywał w Mercers po kilka godzin – dzień po dniu.

Koledzy zdradzili barmance, że Witek jest mistrzem szkoły w szachach. Zaczęła go usilnie namawiać, by stanął z Dziadkiem w szranki. Dał się w końcu namówić.

Gra Witka z doświadczonym przeciwnikiem potoczyła się po myśli Dziadka, który szybko zyskał w polu pewną przewagę. Jednak kolejne ruchy Witka wprawiły jego przeciwnika w zdumienie, zaskoczenie, wreszcie w rozpacz.

Nagły szach–mat jak grom z jasnego nieba stał się faktem. Wstrząśnięty Dziadek ze łzami w oczach drżącymi rękami wypłacił zwycięzcy umówioną stawkę i w szoku wyszedł z kawiarni, przyciskając do siebie ukochane pudło.

Wszyscy obserwatorzy pospieszyli do Witka z gratulacjami. Powszechnie spodziewano się, że jego przeciwnik, żądny rewanzu, zjawi się nazajutrz.

Starszy pan jednak nigdy więcej do kawiarni nie przyszedł. Nie znano jego imienia i nazwiska. Pozostał anonimowy na zawsze. Nikt też nie dowiedział się, jak mocno przeżył swoją porażkę. O intrygującym Dziadku, stałym gościu kawiarni Mercers, w końcu zapomniano.

A może ktoś z czytelników zna jego tożsamość i wie, co działo się z Dziadkiem po feralnym dla niego dniu? Jak przeżył porażkę?

Czy zadomowił się w innej kawiarni? Czy zraził się do rywalizacji, a niespodziewana przegrana złamała jego ducha walki? Taki bieg zdarzeń byłby przykry – mogłby oznaczać kres szachowej weny Dziadka, osłabienie życiowej witalności i – niestety – radykalne pogorszenie jego statusu materialnego.

Witek nie wspomina mile zwycięstwa z Dziadkiem. Wyobrażenia podsuwa mu obraz starego człowieka, któremu nagle zabrakło środków na lekarstwa dla schorowanej żony, na wigilijne prezenty dla wnuków, może nawet na jedzenie – jeśli miał skromną emeryturę lub nie miał jej w ogóle.

Do dziś dręczy Witka pytanie – czy zawsze warto zwyciężać? Jako dobry szachista zna odpowiedź – należy przewidzieć skutki kilku kolejnych ruchów. Wtedy rozum i serce pomogą podjąć właściwą decyzję.

SZKOCKI ZAMEK

W roku 1946 oddział Drugiego Korpusu generała Władysława Andersa otrzymał rozkaz rozlokowania się w zamku Carlisle. Z historią zamku oraz legendami o jego mieszkańcach i więźniach polscy żołnierze zapoznali się z angielskich broszur. Zamek Carlisle to średniowieczna forteca stojąca na straży miasta i hrabstwa przez blisko dziewięć wieków. Z relacji licznych świadków wynika, że z jego komnat i lochów co jakiś czas wydobywają się przerażające dźwięki – zawodzenie, krzyki i jęki.

Swoje powstanie zamek zawdzięcza panującemu w XI wieku Wilhelmowi II Rudemu, który w 1092 roku najechał Cumberland (tak nazywano wtedy znajdującą się pod szkockim panowaniem północno-zachodnią część Kumbrii) i przyłączył ten obszar do ziem angielskich. Budowę zamku rozpoczęto w 1093 roku, na ruinach starego rzymskiego fortu. Twierdza miała na celu ochronę północnej granicy Anglii przed Szkotami. W 1122 roku Henryk I rozpoczął budowę kolejnej jego części – kamiennej fortecy na tym samym terenie oraz murów miejskich.

Przejęcie Kumbrii przez Anglików uznaje się za początek wojen szkocko-angielskich. Na przestrzeni kolejnych siedmiu wieków zamek znajdował się na przemian pod panowaniem szkockim i angielskim. Za czasów panowania Henryka VIII czeski inżynier wojskowy Stefan von Haschenberg rozpoczął przebudowę zamku, co umożliwiło wprowadzenie do niego artylerii, a tym samym wzmocnienie siły obronnej. Walki o zamek, jak również o miasto Carlisle i tereny Kumbrii, trwały aż do początków XVIII wieku, do dnia zawarcia pokoju między Szkocją a Anglią oraz oficjalnego

utworzenia Wielkiej Brytanii. Miejszem egzekucji więźniów było położone nieopodal wzgórze Gallows Hill.

W 1568 roku przez kilka miesięcy w wieży zamku więziono szkocką królową Marię Stuart. Każde pojawienie się ducha nieszczęsnej władczyni w komnacie na szczycie wieży uważano za bardzo złą wróżbę.

Zapadał zmierzch. Dowódca polskiego oddziału stacjonującego na zamku stał na dziedzińcu. Zauważył coś niepokojącego. Ze szczytu zamkowej wieży dochodziły podejrzane stuki. Nikt nie miał prawa tam się znajdować. Porucznik postanowił sprawdzić, co się tam dzieje. Krętymi, wąskimi schodami wszedł na wieżę, na jej najwyższą kondygnację. Zobaczył niedomknięte okno i okiennicę, która pozbawiona blokady antywiatrowej, szarpana podmuchami, miarowo uderzała o mur. Podeszedł, by ją zamknąć. Wychylił się przez okno i spojrzął w dół.

Na dziedzińcu, spowitym wieczorną mgłą, niczego nie zauważył. Nagle ogarnął go gwałtowny i nieoczekiwany strach. Nie wiedząc dlaczego, odskoczył od okna. Zszedł szybko na dół i wyszedł na plac. Na dziedzińcu zamku niemal zderzył się z wartownikiem, który wielce zaaferowany zameldował:

– Melduję panie poruczniku, że jakiś duch pojawił się w oknie na górze, miałem go na muszce i już naciskałem spust karabinu, gdy nagle zniknął!

Porucznik zbladł i przeżegnał się.

Zdziwiony jego reakcją wartownik pomyślał: no proszę, niby porucznik, a boi się duchów. Można by pomyśleć, że szkocka whisky, którą w chłodny i wilgotny wieczór rozgrzewał się podczas pełnienia służby polski żołnierz, to podstępna forma historycznej zemsty Szkotów na Anglikach i ich wiernych sojusznikach – niemal tysiąc lat później.

Z ZIEMI WŁOSKIEJ

W roku 1946 polscy żołnierze Drugiego Korpusu generała Władysława Andersa stacjonowali w rejonie miast: Brindisi, Ancona, Salento i Casamassima. Młoda i bardzo piękna Włoszka Giulietta zakochała się w *Comandante polacco* – polskim poruczniku – dowódcy miasteczka. Późnym wieczorem kierowca zawiózł *Comandante* jeepem do domku Giulietty, leżącego nieopodal miasteczka.

W środku zastali rozbawione towarzystwo, zabawa musiała trwać już dość długo. Porucznik nie lubił tracić czasu, więc nie zwlekając, dołączył do trwającego już szaleństwa. Na widok *Comandante* wino, wódka i szampan polały się strumieniami. Śpiewy, tańce, całowanie – tak alianci o polskich korzeniach nieprzerwanie od końca wojny fetowali swoje zwycięstwo nad włoskimi faszystami. Przyszedł środek nocy, gdy porucznik zdał sobie sprawę, że rano w jednostce musi zorganizować apel, odebrać meldunki i przeprowadzić odprawę.

– *Ciao ragazze! A rivederci!* Cześć dziewczyny! – zawołał *Comandante polacco* i dodał: – Polski komandos nigdy drzwiami nie wychodzi!

Szybko otworzył okno i... wyskoczył. Przerażone włoskie dziewczyny, które nie zdążyły go powstrzymać, narobiły okropnego wrzasku. *Comandante* rzeczywiście skoczył, ale zamiast potem stanąć na nogi w całkowitej ciemności poszybował w dół – bez żadnej kontroli. Nie wyskoczył przez okno do ogrodu, jak przypuszczał. W nocy nie mógł zauważyć, że domek stoi nad stromym skalnym urwiskiem, drzwi ma od ulicy, ale za oknami znajduje się kilkudziesięciometrowa przepaść.

Comandante polacco, zahaczając o kamienie i krzewy, zgodnie z zasadą grawitacji spadał ku podnóżu urwiska. Nie widząc nic w ciemnościach, rozbił się o coś co chwilę, aż wreszcie jego niespodziewana „podróż” dobiegła końca. Tylko niebywałemu szczęściu zawdzięczał życie. Alkohol – jak zwykle – zadziałał znieczulająco. Poważnie poraniony usiłował wrócić do Giulietty. W znacznej odległości od domu znalazł w końcu dogodnie miejsce i z wielkim trudem wdrapał się na poziom ulicy. Przerażonym uczestnikom zabawy ukazała się zakrwawiona postać *Comandante* przypominająca upiora. Ale przeżył. Z pomocą przyjaciół dotarł nad ranem do jednostki. Rozbity i posiniaczony dochodził do siebie przez wiele dni. Nie mógł pokazać się publicznie.

Stęskniona Giulietta długo czekała na powrót swojego polskiego bohatera – *eroe polacco*.

INTERNETOWY ZAKUP

– Stoi, jęczy i pluje – powiedziała swojej córce seniorka rodu, pani Łucja, komentując przez telefon perfidne zachowanie swojej wysłużonej pralki.

– Mamo, kup nową, zaraz ci coś znajdę! – odpowiedziała mieszkająca w Nowym Jorku córka i rozpoczęła studiowanie ofert polskich sprzedawców internetowych. Poszukiwania nie trwały długo – cena pralki wybranej w internecie była niższa od takiej samej z marketu o dwieście złotych!

Aby zostać jej szczęśliwą posiadaczką, należało przeprowadzić zakup z użyciem amerykańskiej karty kredytowej, w którą córka wcześniej wyposażyła swoją mamę.

Pani Łucja, w celu uniknięcia niepotrzebnego stresu, zwróciła się o pomoc do sąsiadów, którzy od razu przystąpili do dzieła. Po kilku minutach zamówienie zostało złożone, numer karty z awersu wraz z kodem PIN z rewersu został podany, czyli płatność sfinalizowano i pozostało jedynie czekać na informację o dacie dostawy pralki.

Pani domu, by uczcić udany zakup, zaprosiła sąsiadów na podwieczorek. Gdy wzniesiono do góry kieliszki, słowa toastu przerwał dźwięk, który wydobył się z wciąż pracującego komputera. Goście i gospodyni odczytali wiadomość: „Zakup anulowano”.

Zapanowała konsternacja.

– Co robić? – zapytała pani Łucja.

– Jak to co? – odpowiedzieli życzliwi sąsiedzi – powtórzymy zakup – po czym przynieśli z domu super szybki własny komputer i transakcję zakupu pralki – z użyciem tej samej karty – powtórzono.

Kontynuowano podwieczorek do momentu, gdy rozległo się dźwięczne „bim bom”. Na ekranie pojawiło się niewinne z pozoru zdanie: „Transakcja nie może zostać zrealizowana”.

Oślupiali goście i pani domu zdecydowali się trzeci raz nie próbować. Jednak góra prania czekać nie mogła.

Była sobota, godzina dziewiętnasta. Znajdująca się w pobliżu Arkadia jeszcze czekała na klientów. Wszyscy wsiedli w auto i przed godziną dwudziestą pani Łucja została właścicielką nowej pralki, kupionej za gotówkę, wprawdzie droższej o dwieście złotych, ale tym razem – nie wirtualnej. Pani domu, z uczuciem ulgi, dotknęła ją osobiście. Termin dostawy ustalony na wtorek jej nie przygnębił, to i tak była wielka ulga.

Nastał późny wieczór. Po dniu pełnym wrażeń i emocji pani Łucja sposobila się do snu. Nagle zadzwoniła komórka. Jej córka telefonowała z Addis Abeby – z rozpaczą w głosie i pytaniem:

– Mamo! Czy skradziono ci kartę kredytową? W trakcie międzylądowania przyszedł do mnie mail z nowojorskiego banku, informujący o anulowaniu mojej karty kredytowej do rachunku, z uwagi na zagrożenie środków na koncie! Mamo! – wołała córka – jestem na lotnisku bez pieniędzy! Przed chwilą dzwonił twój zięć John z New York – przerażony zapytał mnie, co się stało?! Nie może pobrać pieniędzy, a jest weekend i banki nie pracują! Poczekaj, bo właśnie dzwoni twoja wnuczka! A nie wiem, czy wiesz, że jako wolontariuszka poleciała do Abu Dhabi?

Po chwili stało się jasne, że i jej kartę zablokowano. Temperatura w Zjednoczonych Emiratach wynosi 45 stopni, a biedaczka nie może nawet napić się wody.

Zdenerwowana pani Łucja z trudem wyjąkała, że karta leży w domu, a ona nie wie o co chodzi – bo zakupy, które usiłowała zrobić, zostały anulowane. Rozłączyły się.

Gdy nastąpiła noc, roztrzęsiona, z trudem zasnęła.

I właśnie wtedy zaskrzypiały drzwi wejściowe do mieszkania. Przerażona ujrzała, jak uchylają się szeroko. Po chwili ukazała się w nich, krocząca z majestatem na ugiętych nogach nowa Pralka, która klapiąc szerokimi stopami po podłodze, niczym postać z filmów Disneya, pomaszerowała prosto do salonu.

Wtedy w otwartych drzwiach ukazała się druga nowa Pralka, a zaraz za nią, wyglądająca zza jej pleców, uradowana, trzecia nowa Pralka. Wkroczyły dostojnie do salonu, by ucieszyć oko swojej nowej Pani.

Na widok trzech Pralek seniorka rodu zerwała się na równe nogi. Nie była w stanie zasnąć do samego rana.

Na rozwiązanie zagadki trzeba było czekać do godziny piętnastej w poniedziałek. Wtedy ruszyły banki w Nowym Jorku i wyjaśniono, że system, w rezultacie źle skonfigurowanych zabezpieczeń, potraktował zwykłe transakcje ze środkowo-wschodniej Europy jako włamanie.

Wniosek nasuwa się sam: używając *amerykańskich* kart kredytowych kupować należy wyłącznie *amerykańskie* pralki i koniecznie w *Ameryce*, wychodząc z prostego założenia, że w USA, w takich jak my *sojuszników* zza dawnej żelaznej kurtyny nikt tam nie wierzy.

Tytuł roboczy opowiadania brzmi: „Trzy pralki” i uczciwie przestrzegam przed nabyciem praw do nich. Jest bardzo prawdopodobne, że właścicielowi trzech pralek zabraknie środków na naprawy.

EGIPT – PÓŁWYSEP SYNAJ

Interior.

Góry i skały. Kamienisko bez zieleni.

Ubite wstęgi dróg między wzgórzami. Jasnoszare odcienie brązu po sam horyzont.

Uporczywy wiatr niosący tumany piasku, wykonujący syzyfową pracę z nakazu przyrody.

Piramidy pyłu, piasku i okruchów skał dotkniętych erozją.

Oślepiające, palące, bezlitosne słońce dnia. Żar, który nie zna odpoczynku.

Przejmujący chłód ciemnej nocy.

Z rzadka rozsiane namioty, czasem chaty. Proszące, wychudzone ręce.

Pociemniałe, zmarszczone twarze, osmagane wiatrem, poorane piaskiem.

Zakwefione lica starych kobiet.

Oczy i zastygłe sylwetki wyglądające końca dnia.

Dzieci, nieustannie biegające, rozkrzyczane, szukające czegoś.

Spokój i mozół ich rodziców.

Bieda i upór. Smutek i jednostajność.

Wola przetrwania wśród wiatru, suchej przyrody.

Łopot rozstawionych namiotów i plandek.

Czas stojący w miejscu.

Wielbłądy niespiesznie zmierzające ku zachodowi, znikające w przepaści dalekiego horyzontu.

Słońce, z wolna przemieszczające się wśród pagórków rzucających cierpliwie wędrujące cienie.

Synaj egipski uwolniony od okupanta przed wieloma laty.
Fale uporczywie zmagające się z grzbietami przybrzeżnych raf.
Przejrzysta morska woda powiększająca obrazy ryb
mieniających się niespotykanymi barwami, kolorami
z nieznanymi palet.
Korale nowych hoteli wyrąbane w litej skale, uczezione
morskiego brzegu.
Owalne formy lazurów basenów, otoczonych skąpą zielenią.
Świadek nierealnego świata, który tu zawitał.
Świata niosącego nadzieję pracy i życia.
A za nim kamienna cisza niekończących się wzgórz i pustkowi.
Synaj, interior uczący wiary, pokory i wytrwałości.
Człowiek, opoka istnienia, nie ustępujący wobec naporu
bezwzględnej przyrody.
Człowiek, walczący z mozołem o wodę, o pożywienie
dla rodziny i wychudłych zwierząt.
Człowiek, nieprzerwanie pielęgnujący znękaną żarą słońca
rośliny, osaczony wędrującymi piaskami.
Człowiek, towarzyszący wiernie trzodzie rankiem, dniem
i zimną bezchmurną nocą,
gdy pustynię z wysokiego firmamentu rozświetla róż
migoczących, tajemniczych gwiazd,
i księżyc wiszący na tle granatowego nieba.

CZY WSZYSTKO JEST DOBRZE?

Po wielu latach ruszam w nostalgiczną podróż do Bułgarii. Jadę w miejsce, gdzie spędziłem półtora roku i przeszedłem eksportowe chrzciny. Lecę i myślę sobie, że z atmosfery małej miścinki leżącej przy lotnisku – w dobie wielkich zmian w Europie – mogło nic nie pozostać. Przez Google obejrzałem linie nowych domów i hotele – dokładnie tam, gdzie kiedyś w Sarafowie zajmowałem piętro niewielkiego domu – nad samym brzegiem Morza Czarnego, tuż nad stromym, gliniastym urwiskiem. Bagatela, upłynęło ponad trzydzieści lat. Lecimy z Elżbietą na wypoczynek do sąsiedniej miejscowości – Pomorie, ale skłamałbym twierdząc, że chcę wyłącznie odpocząć. Pragnę odwiedzić stare kąty i poszukać śladów ludzi, z którymi się wówczas zaprzyjaźniłem.

Budynek przylotów w Burgas rozczarowuje swą prostotą, tandetnymi ściankami działowymi i paskudnym wykończeniem. Pytam o dawnego naczelnika lotniska – Dymitara Iwanowa. Pracownik obsługi tajemniczo śmieje się i prowadzi mnie do okienka serwisu zaginionych bagaży.

– Widzi pan tę blondynę? – mówi – to jego żona. Młoda jest!

Patrzę zaskoczony na kobietę w wieku około czterdziestki. W samolocie kalkulowałem, ile Dymitar mógłby mieć lat. Wyszło mi, że osiemdziesiąt pięć. Zaskoczony zwracam się do niej z prośbą, by przekazała naczelnikowi pozdrowienia od dawnego znajomego – szefa rozbudowy lotniska z ramienia Budimexu. Daję wizytówkę, pani uśmiecha się, kiwa głową ze zrozumieniem, dziękuje i potwierdza, że przekaze.

Nie mogę się nadziwić – naczelnik lotniska, aktywny uczestnik imprez suto zakrapianych rakiją dotrwał do tak sędziwego wieku? I ma żonę młodszą o czterdzieści pięć lat?! Myśl o tym przez kilka dni nie daje mi spokoju.

Autobus zabiera nas z lotniska i zawozi do Pomorie. Nasz hotel jest oddalony od morza nieco ponad sto metrów. Robi sympatyczne wrażenie, ma ciekawie zaprojektowane elewacje. Pomiędzy pionowymi, ciemnoczerwonymi, wysuniętymi słupami rozpierają się obszerne balkony z widokiem na morze. Z hotelem sąsiaduje monstrualnych rozmiarów kompleks hotelowy, który zadziwia nas swą architekturą. Mógłby stanowić część (nieistniejącej przecież) arabskiej dzielnicy Moskwy. Czyste formy architektury islamskiej pomieszano z socrealistycznym monumentalizmem.

Ten ogromny obiekt szokujący absurdalnym wyglądem jest prawie pusty. A na początku czerwca sezon turystyczny powinien już go wypełnić turystami z Rosji. O tym, że w kurorcie brak turystów przekonujemy się, oglądając wciąż pozamykane, obdrapane, archaiczne budki sklepików przy głównej ulicy. W nielicznych widać ruch – ktoś przytargał wiadro farby, a meble wystawił poza sklep. Obok układany jest betonowy bruk – będzie nowy chodnik. I dobrze, bo woda w kałużach sięga kostek. Wszędzie leżą rozrzucone śmieci. Te butiki, w których już trwa handel, porażają szmirą gorszą niż za komuny.

Co tu się dzieje? – zaczynamy się zastanawiać. Takich informacji w folderze biura turystycznego nie było. Bułgaria w ulotkach rozkwita i kusi swym niepowtarzalnym urokiem. Z każdą godziną i kolejnym dniem dociera do nas trudna do zrozumienia prawda – obecny poziom życia Bułgarów nie jest wyższy niż za komuny.

W Pomorie duże, wyblakłe fotografie osób zmarłych, umieszczone w plastikowych przezroczystych foliach, przytwierdzone są do bram domów, płotów i ulicznych drzew – tuż przy posesjach, w których ci ludzie mieszkali. Opatrzone są imieniem, nazwiskiem i datą śmierci. Od dziesiątków lat stanowią trwałe elementy miejscowej tradycji. Spacerujemy po centrum, a zewsząd patrzą na nas martwe, wyblakłe twarze bez wyrazu, jakby powtarzające nieustannie: *memento mori... memento mori...*

Czas ruszyć na spotkanie z przeszłością. Wsiadamy do autobusu jadącego w stronę odległego o dziesięć kilometrów aeroportu Burgas i po kilkunastu minutach wysiadamy tuż przy lotnisku, w osadzie Sarafowo. To tam mieszkałem przed laty jako służbowy najemca, mimowolnie uczestnicząc w życiu bułgarskiej rodziny. Wraz z nimi musiałem znosić trudy upalnego lata i marznąć, gdy zimą temperatura niespodziewanie spadła do kilkunastu stopni poniżej zera, a wiatr, wdzierając się przez nieszczelne okna i mury, swobodnie buszował po pięterku.

Od przystanku idziemy asfaltową drogą opadającą ku morzu. Nie poznaję niektórych ulic, wiele się zmieniło. Odnoszę wrażenie, że ta, której szukamy, biegnąca niegdyś na szczycie wysokiego urwiska i równoległa do linii plaży, zabudowana jest nowymi domami. Szokuje fakt, że w nich i wokół widać niewiele śladów życia. Tu i ówdzie na wyasfaltowanym fragmencie parkingu parkuje wiekowy samochód, a zaraz obok rosną chaszczki nie do przebycia, stoi jakaś wałcząca się parterowa rudera, wałają się połamane deski, potłuczone szkło, pozostałości okien, sterty śmieci. Budowa wielu domów zatrzymała się na etapie konstrukcji. Teraz straszą otwartymi przestrzeniami bez ścian, zawilgocone, przemarznięte i przewiane bryzą. Zbrojenie słupów i stropów koroduje, a betony

kruszeją. Ludzie, o co tu chodzi? – chcielibyśmy zapytać, ale właściwie nie ma nikogo, komu można by zadać to pytanie.

Już blisko godzinę snujemy się po ulicy nad urwiskiem i gaśnie w nas nadzieja na odnalezienie piętrowego domku. Wpadam na myśl – a może sprawdzić ulicę biegnącą powyżej linii nowych domów? Posuwamy się wzdłuż niej powoli, próbując odtworzyć z pamięci dawny obraz miejsca, którego szukamy. Gdy jesteśmy na jej krańcu, oddalonym kilkaset metrów na północ od centrum, zwraca naszą uwagę niewielki parterowy domek, bardzo skromny, na małej działce. Starszy mężczyzna, z siwymi, kręconymi włosami, stojąc na drabinie, pielęgnuje drzewka figowe.

– *Dober den!* – witam się z nim, odpowiada życzliwie w ten sam sposób i... znajomość zawarta. Bułgarzy są gościnni. Przedstawiamy się, wspominam o swojej pracy sprzed lat. Wie o co chodzi, tak, rzeczywiście, Polacy budowali nowe pasy startowe na lotnisku.

– *Zapowiadajte* – uśmiecha się szeroko. – Chodźcie do domku to wszystko opowiecie i kto wie, może będę mógł Wam pomóc.

Siadamy na niewielkiej werandzie, a gospodarz wyciąga przedmiot swojej dumy. Nalewa nam do szklanek rakiję, zrobioną z własnych przydomowych owoców.

– *Smokinia* – zachwala – figowa – przypomina mi się dawno nieużywane słowo.

Ma na imię Prodan i mieszka tu od pięćdziesięciu lat. Zna dobrze starych mieszkańców Sarafowa. Dodaje, że spośród młodych wielu wyjechało za granicę, bo tu żadnej pracy nie ma. Jeszcze sześć – siedem lat temu hotele i apartamenty na sprzedaż albo wynajem rosły jak grzyby po deszczu. Aż przyszedł kryzys gospodarczy i nagle wszystko stanęło. Inwestorzy potracili pieniądze – ich domów nikt już nie chce kupować i wynajmować, a i turystów jak na lekarstwo.

Z Rosji jeszcze przyjeżdżają, ale ci najubożsi. Przypominamy sobie, że rosyjskie napisy dominują na tandetnych koszulkach i czapczkach oferowanych w mieście. A na ulicy i w butikach słysząc często rosyjską mowę. Znam rosyjski doskonale, z poziomu toczonych rozmów orientuję się, że to nie elita przyjechała do Pomorie.

– Bilety lotnicze z Moskwy, Petersburga i innych większych miast kupują za ruble – w przeliczeniu jakieś dwadzieścia euro za bilet – nawet biedotę na to stać – mówi Prodan. – Pokoje mają za grosze – cóż, lepsi tacy niż żadni. Niektóre hotele niszczej, niesprzątane i opuszczone. Stoją jak widma, i to nad samym morzem!

Prodan nalewa już po drugiej szklance, rakija smakuje jak diabli! Jak to możliwe? – myślę, całkiem nie ma znajomego odoru, a nawet jest delikatna – złotawa i przejrzysta. Nie możemy nachwalić się jego nalewki i już jesteśmy na Ty. Chce, byśmy ocenili, ile ma lat.

– Masz sześćdziesiątkę – mówię to, co myślę.

Odpowiedzią jest wyraźnie uradowany.

– Mam osiemdziesiąt dwa – mówi i śmieje się od ucha do ucha, pokazując rzędy zdrowych zębów, które nie widziały dentysty. Nie możemy uwierzyć.

– Prodan – mówię – szukamy domku i ludzi, u których mieszkałem. Ona miała na imię Dimitrina, młodszy synek miał na imię Nikołajczo. Pracowała na lotnisku.

– A co robiła? – pyta.

Odpowiadam, że była kucharką i obsługiwała stołówkę dla naszych pracowników.

– *Gotowaczki* takiej nie pamiętam, mówi, a przecież i ja tam pracowałem, lotnisko dawało pracę wielu ludziom z Sarafowa.

Trzecią szklankę pozwalamy napełnić do połowy – rakija ma powyżej pięćdziesięciu procent. Mój bułgarski rozkręca

się i w ekspresowym tempie wracają słowa drzemiące od lat w ukrytych zakamarkach mózgu. Zaczynam gadać jak najęty. To prawda, że procenty rozwiązują język, znikają bariery i opory, a zapomniane zwroty same cisną się na usta. Nie mogę się nadszwić – skąd tak swobodna mowa? – czyżbym stąd nie wyjechał trzydzieści kilka lat temu?

Prodan wpada na pomysł, byśmy poszli do jego znajomej. Zawsze o wszystkim wiedziała, dlaczego teraz miałoby być inaczej? Uniesieni nalewką ruszamy z powrotem pod górę i po piętnastu minutach docieramy na poziom najwyżej położonej ulicy. Wyjątkowo pałace słońce rozgrzewa nas dodatkowo. Jesteśmy prawie w punkcie wyjścia.

Na widok Prodana gospodyni uśmiecha się i wita nas serdecznie.

– Kiriłka! – przedstawia się i zaprasza do stolika w ogrodzie. Po jej wyglądzie i sposobie prowadzenia rozmowy orientujemy się, że należy do grupy miejscowych patrycjuszy. A Prodan, przyprowadzając znajomych z zagranicy, dodał sobie splendoru. Rozanielony perspektywą poczęstunku nie zauważam, że kamera, którą mam ze sobą, jest włączona – filmuje stopy i trawnik. Pani domu do szklaneczek nalewa nalewkę z winogron. Ma mocny zapach i gryzie w gardło.

– *Mnogo hubowa* – chwałę rakię, ale pijemy ją małymi łyżkami.

– *Grozdowa rakija ta* – informuje Kiriłka i stawia talerz z ciasteczkami. Prowadzi z nami i Prodanem ożywioną rozmowę, dopytuje o szczegóły związane z Dimitriną, widać, że chce rozwikłać zagadkę, o kogo chodzi. W pewnym momencie mówi coś szybko Prodanowi, ten robi wielkie oczy, a następnie głośno się śmieje.

– Dimitrina to była *serwitorka* na lotnisku – mówi – dopóki go nie zamknęli na czas robót, a potem pracowała dla was w kuchni.

W tym momencie przypominam sobie Dimitrinę w obcisłej bluzce, zgrabnej czarnej spódnicy. Rzeczywiście, wcześniej, podczas rozmów kontraktowych, z urokliwym uśmiechem podawała nam obiad w lotniskowej restauracji. Jak mogłem zapomnieć – była kelnerką!

– No i co teraz – pytam Prodana – gdzie ona jest?

– Idziemy – mówi Prodan z nieodgadzionym uśmiechem i dodaje: – ale się zdziwisz!

Napięcie rośnie, zaczynam przeżywać, nawet alkohol wyparuje mi nieco z głowy, bo czuję, że jest szansa na odnalezienie moich gospodarzy sprzed lat. Ku naszemu zdziwieniu Prodan prowadzi nas z powrotem dokładnie tą samą drogą, którą szliśmy pod górę, prosto ku swojej parterowej chatce. Nie umiem logicznie przeanalizować sytuacji, wracamy do niego czy co?! Zatrzymujemy się nieoczekiwanie przy furtce piętrowego domu sąsiadującego z jego posesją.

– Głupio mi – mówi – nie skojarzyłem tej kucharki. Dimitrina to moja sąsiadka.

Staję jak wryty. Wcześniej przechodziliśmy tuż obok i nie poznałem ich domu! Jest teraz otynkowany, ma nowy dach. Czekamy przy furtce, Prodan wchodzi po schodkach, słyszymy odgłosy rozmowy. Po chwili wychodzi, a w drzwiach pojawia się Dimitrina. Poznaję ją od razu. Z początku niepewnie spogląda na mnie, po paru słowach już wie i pamięta! Ściskamy się mocno. Mówię, że tak się cieszę, bo myślałem, że ich nie odnajdę, a dawnego domu już nie ma. W drzwiach pojawia się jej mąż, drobny, chudy, lekko kuleje.

– Dragan! – woła – chodź, mamy gościa z Polski, to szef rozbudowy lotniska.

Olśnienie – no tak, Dragan Draganow. Jak mogłem zapomnieć nazwisko! Całkowicie zaskoczeni, poprawiają wygląd gościnnego

pokoju, zabierając niepotrzebne rzeczy ze stołu i kanapy. Wspominamy różne zdarzenia, jesteśmy wzruszeni. Dimitrina ugaszca nas pomidorową z makaronem i... rakiją. Wszyscy tu pędzą – przynajmniej rakiją. Ich starszy syn Ilja pracuje w hamburskim porcie, ma dobrą pracę. Byli u niego, ma dwoje dzieci, pokazują zdjęcia, są z niego dumni. Jego starsza córka ma dwadzieścia pięć lat – studiuje i pracuje w Anglii.

– Co z Nikołajczo? – pytam – waszym młodszym synem?

Odpowiadają na przemian, że mieszka z nimi, pracuje dorywczo, żony nie ma. A jest już po czterdziestce. Pamiętam, że Ilja był inteligentny, a Nikołajczo wydawał się trochę zagubiony. Musieli mu tłumaczyć to, co starszy syn pojmował w lot. Życie potwierdziło wcześniejsze predyspozycje, chłopcy wiodą skrajnie różne życie.

Z rozmowy z Dimitriną i Draganem dowiadujemy się, że ludzie młodzi i w wieku średnim z Bułgarii wyjechali – do Turcji i na zachód. Ponad dziesięć milionowy kraj stracił jedną czwartą obywateli – jego populacja liczy nieco ponad siedem milionów. W kraju zostali emeryci. Zero inwestycji, wszystko marnieje, a w rolnictwie nie ma rąk do pracy. Ogródek przydomowy jak zawsze ratuje im życie – na polskie pomidory i warzywa ich nie stać, bułgarskich brak. Pomoc unijna trafia do rąk oligarchów i znika bezpowrotnie. Kraj wręcz stanął – brak nowej infrastruktury, nie dzieje się nic.

– Jesteśmy w Europie, ale żyje nam się trudniej niż kiedyś. Dobrze, że Ilja pomaga, dobry z niego syn. Mamy po trzysta lewa emerytury – na wiele podstawowych rzeczy nas nie stać – opowiadają z goryczą.

Pytam o zagadkową sprawę naczelnika lotniska Dymitara Iwanowa. Okazuje się, że nie żyje od dwudziestu kilku lat, a na

lotnisku skierowano mnie do żony jego syna, też Dymitara. Wszystko jasne. Dwa dni po spotkaniu zapraszamy Dimitrinę i Dragana na obiad do miejscowej restauracji. To Dimitrina ją wybrała, należy do znajomej, może będzie okazja do rozmowy o pracy. Marzy, by znów pracować jako kelnerka. Po tylu latach wciąż ładnie wygląda. Rachunek za zwykły obiad ma wysokość połowy emerytury. Wręczamy jej prezent – piękną jedwabną sukienkę kupioną dzień wcześniej w Burgas. Jest wzruszona. Żegnając się wiemy, mimo kurtuazyjnych deklaracji podtrzymywania kontaktu, że prawdopodobnie już tu nie wrócimy. *Do viždane* – Bułgario.

Pobyt w Pomorie, Sarafowie, jazda wynajętym bmw na południe, przez Burgas, port Sozopol, aż do Ahtopolu, uświadamia nam i potwierdza gorzką prawdę. Kraj nie wykorzystał swojej europejskiej szansy. Nie ma nowych dróg, nowoczesnego przemysłu, rolnictwo zamiera. Ludzie nie widzą żadnej przyszłości i nadal wyjeżdżają do pracy za granicę. To jest państwo, dla którego przy obecnej pseudodemokracji i rządach typu mafijnego nie ma ratunku.

Piękne słońce nadal świeci nad Bułgarią – jego promienie rozświetlają wspaniałą przyrodę, którą już nie cieszą się mieszkańcy i coraz rzadziej turyści. Po co przyjeżdżać – by być świadkiem biedy? W Pomorie nie ma kanalizacji – kiedy spada ulewny deszcz z przydomowych zbiorników wypływają fekalia – ich zapach dominuje nad całą okolicą, wdzierając się do pokoi wszystkich hoteli. Recepcja bezradnie rozkłada ręce – kiedyś przestanie padać. Tylko po co kąpać się w morzu, do którego to, o czym wyżej, płynie wartkim strumieniem?

Wyjeżdżamy i jest nam przykro – dzisiejsza Bułgaria nie jest lepsza od tej z epoki komunizmu, stanęła na poziomie roku

osiemdziesiątego – więc cofa się. Szkoda. Żadne siły nie są w stanie naruszyć monopolu złodziei rządzących krajem.

Dopełnieniem wrażeń, których dostarczył nam urlop w Bułgarii, jest moment wyjazdu. Nasz pobyt skrócono, bez wyjaśnień, o kilkanaście godzin. O godzinie 01.45 w nocy (zamiast 15.00 po południu) schodzimy z bagażami do holu głównego i przez ponad godzinę oczekujemy na podstawienie autokaru, który ma nas zawieźć na lotnisko Burgas. Autokar staje przy głównej drodze, nie zajezdża na hotelowy parking. Przez odcinek dwustu metrów musimy ciągnąć walizki po stromych schodach, błocie i kałużach, podczas padającego deszczu. Po załadowaniu bagażu, przemoknięci i zmęczeni zauważamy, iż jedziemy do Warny, czyli.. w przeciwnym kierunku. Niepokoi nas totalny spokój współpasażerów – czy jest im wszystko jedno, dokąd jadą? Czy to może początek, a nie koniec ich urlopu? Przyczyna jest prozaiczna – autokar jest uszkodzony, nie ma wstecznego biegu i może jechać tylko do przodu. Kierowca znajduje wreszcie miejsce, które pozwala zawrócić bez cofania i w ostatniej chwili docieramy na odprawę lotniskową.

Biura turystyczne w celu zwiększenia własnych obrotów dezinformują polskich turystów. Marketing powinien być uczciwy. O super wypoczynku w Bułgarii nie powinno się pisać, prędzej o survivalu dla osób szukających emocji.

Na pytanie zadane w tytule: „Czy wszystko jest dobrze?” odpowiedź jest negatywna, bo niestety nie jest.

SZARE PUDEŁKO Z AUSTRALII

Janek, jedyny syn w warszawskiej siedmioosobowej rodzinie, był oczkiem w głowie swojej mamy Katarzyny. Cztery córki, traktowane zawsze bardzo surowo, nie absorbowały jej serca i myśli w takim stopniu jak On. Dla Janka zawsze było wszystko – eleganckie ubrania, dobry korepetytor, pieniądze. Otrzymywał to, czego zapragnął. Ojciec, który często przebywał poza domem, z obawą obserwował jego tryb życia i relacje z matką. Wybuchła wojna i nastał czas niemieckiej okupacji – pełen zagrożeń i patriotycznych uniesień. Dla Janka, studenta SGH, był to również okres miłosnych porywów. W uczuciach do dziewczyn nigdy nie był stały. Przynajmniej trzy z nich miały powód do rozpacz, gdy Janka, wówczas dwudziestolatka, schwymano w 1940 roku na ulicy podczas jednej z pierwszych łapanek i wywieziono do obozu w Oświęcimiu.

Przywykły do luksusu nie umiał się w obozie odnaleźć, przystosować do życia pełnego strachu, udręki i głodu. Matka, w przystępie szalonej rozpacz, dokonała cudu. Przekupiła złotem i dolarami wysokiego rangą niemieckiego oficera, który załatwił zwolnienie Janka z Oświęcimia. Historia zna jedynie pojedyncze takie przypadki i to wyłącznie w pierwszych miesiącach funkcjonowania obozu.

W ciągu trzech miesięcy od uwięzienia Janek przerażająco wychudł. Koledzy z Warszawy odebrali go pod bramą i po całonocnej podróży wnieśli na noszach, niemal nieprzytomnego, do domu na ulicy Zielnej. Ważył trzydzieści sześć kilogramów. Zwolnienie z obozu nastąpiło niemal w ostatniej chwili, kolejnego miesiąca Janek by nie przeżył. Niedługo potem okupant stał się całkowicie bezwzględny wobec Polaków.

Na początku rekonwalescencji dostawał minimalne ilości jedzenia. Wygłodzony organizm musiał się przystosować. Trokskliwie karmiony przez mamę powoli dochodził do siebie. Był bardzo zdolny, ale do nauki nie wkładał serca. Przed wojną, by oderwać Janka od nieciekawego towarzystwa, w jakim się znalazł, wysłano go z Warszawy do gimnazjum z internatem w Radomiu. Z maturą w zębach jak szalony przejechał na rowerze sto pięć kilometrów po dziurawej drodze do Warszawy, by z triumfem wręczyć ją mamie. Tuż przed okupacją zaczął studiować na SGH.

Pomysły Janka zawsze wprawiały w zdumienie. Przed wojną jego mama, idąc ulicą Górnośląską, zobaczyła jakiegoś szaleńca jadącego na rowerze w dół bez trzymanki. Pomyślała natychmiast, że niektórzy rodzice w ogóle nie troszczą się o dzieci. Powinni być ukarani! Przemknęło jej to przez głowę, gdy pędzący w dół chłopiec, śmiejąc się, nieoczekiwanie pomachał do niej. Na widok własnego syna zamarła ze strachu. Wiadomo, jak stromy jest zjazd Górnośląską w dół – od Sejmu w stronę ulicy Myśliwieckiej. Niechybnie w domu oberwał, ale o tym historia milczy.

Jako kilkunastoletni chłopiec, podczas śniadania, chcąc popisać się przed siostrami, chwycił jajko ugotowane na twardo i zawołał:

– Kto tak umie?! Połknę całe!!!

Nikt nie potraktował serio jego deklaracji, więc zanim go powstrzymano, wepchnął je do gardła. I próbował przełknąć! W całości! Jajko utkwiło w przełyku. Oczy niemal wyszły mu na wierzch. Zaczął się dusić. Szok, krzyk, któraś z siostr pobięła po sąsiada lekarza. Zaczęły się konwulsje, cały zsiniał. Nie sposób opisać tego, co się działo. Gorące okłady, bicie po plecach. Miał szczęście, że go odratowano.

Wziął udział w Powstaniu Warszawskim w stopniu starszego strzelca w Korpusie Armii Krajowej.

Po wojnie, w 1945 roku trafił do armii amerykańskiej stacjonującej w Niemczech. Pracował jako tłumacz, później pojechał do Francji, gdzie mieszkał do 1954 roku. Miał tam partnerkę – Sophie – Francuzkę. Mieszkali ze sobą kilka lat, ale nie chciał się z nią ożenić. Była bardzo zazdrosna, bo Jean lubił bajerować kobiety i nie zawsze robił to potajemnie. Pewnego wieczoru zorientował się, że jego Francuzka wpadła w depresję i za ciągłe „numery” może chcieć się na nim okrutnie zemścić. Sophie tego wieczoru była bardzo niespokojna, stale unikała jego wzroku.

Gdy spostrzegł, że długi nóż zniknął gdzieś z szuflady, przestraszył się. Uznał, że tej nocy, podczas snu, może znaleźć się w niebezpieczeństwie. Wieczorem dyskretnie wziął swoje dokumenty i spakował trochę rzeczy osobistych.

– Sophie! – powiedział – wychodzę kupić gauloise’y – na drugą stronę ulicy. Wyszedł po papierosy, na pięć minut, by już nigdy więcej jej nie zobaczyć.

W nocy pojechał do portu w Marsylii. Zapisał się na listę emigracyjną do Australii. Po dwumiesięcznym rejsie dotarł do portu Melbourne. Zamieszkał w Adelaide.

Początkowo pracował jako robotnik, później został kierowcą ciężarówki. Często obserwował rodzinę emigrantów mieszkającą w sąsiedztwie. Okazało się, że pochodzili z Estonii, ale... mówili wyłącznie po niemiecku. Tak poznał Marthę i ożenił się z nią. Była od niego znacznie starsza.

Wkrótce wyszło na jaw, że jest wdową po niemieckim oficerze. Przed wojną mieszkała na wyspie Saaremaa – na Bałtyku, w pobliżu Estonii i Łotwy. Dla Janka najbliższa rodzina jak i jej opinie

nie miały większego znaczenia. Od końca wojny nie był w Polsce, korespondował wyłącznie z matką.

W Adelaide stał się znany i bogaty. Miał głowę do interesów. Po kilkunastu latach posiadał trzy domy w Adelaide i jeden w Szwajcarii. Żył z udzielania pożyczek i wynajmu mieszkań. Martha raz była w Warszawie, w roku 1969. Odwiedziła rodzinę Janka i jego znajomych. Okazała się spłowiałą blondynką, dość wysoką i szczupłą. Nie mieli dzieci. Janek, podobnie jak i ona, zapisał się w Adelaide do klubu niemieckiego. Więzy z Polską, sądząc po jego postępowaniu, nie odczuwał. Miał niezwykle pragmatyczną naturę, zawsze i na wszystkim musiał coś zyskać i zarobić.

Będąc kilka razy w Polsce, całymi tygodniami przemieszkował u rodziny, a najchętniej u najmłodszej siostry Basi. Najczęściej, najchętniej i najdłużej, bo takich obiadów nie było nigdzie! Miała wspaniałą gosposię – Zosię. Mieszkał, jadł i za nic nie płacił. W końcu – Brat! Miał świadomość, że wykorzystuje rodzinę, bo pewnego razu, gdy wrócił późną nocą, zadzwonił przez domofon i powiedział:

– Tu pijawka!

I usłyszał odpowiedź męża siostry:

– Tu sadzawka!

W trakcie pobytów w Warszawie odwiedzał dawne znajome, najczęściej Małgosię, przedwojenną miłość. Musieli przeżywać chwile uniesień, bo Małgosia podarowała mu cenny obraz Juliusza Kossaka. Jak udało mu się wywieźć to dzieło sztuki za granicę? Na zachód Europy wrócił wynajętym w Paryżu samochodem.

Katarzyna, osiemdziesięcioletnia staruszka, nadal kochała syna bezgraniczną miłością. Po raz ostatni przyjechał do Polski w 1970 roku. Rodzina zawiozła go do Jastarni i na Mazury. Wyjeżdżając

do Australii, nie wahał się przyjąć od niej resztek oszczędności – pięciuset dolarów przechowywanych na czarną godzinę, które dała mu „na podróż powrotną”. Dla niej to było wszystko, co jej zostało. Dla niego zaś znaczyło tyle co nic.

Chyba niewiele ojczyzna straciła z powodu jego emigracji. Z pewnością niczego nie zyskała. Od razu uprzedzał rodzinę: jak któreś z dzieci czterech siostr chce jechać do Australii i tam pracować – mogą kupić bilet w jedną stronę, ale dalej o wszystko martwcie się sami – ja pomagać nie będę. Nikt nie skorzystał.

Zmarł w Adelaide w 1998 roku. Wszystko co miał, zostawił w spadku żonie i jej krewnym. Jego polskiej rodzinie przypadła rola załatwiania pochówku w Warszawie. Rodzina Marthy wysłała do Polski szare, plastikowe, szczelnie zespolone pudełko. Ta nieoczekiwana przesyłka, którą pewnego dnia listonosz przyniósł do mieszkania jednej z sióstr, od początku stanowiła zagadkę.

Dolary czy prochy Janka? Jeśli prochy po kremacji, to tej paczki nie wysłano z zachowaniem oficjalnych procedur, jakie obowiązują w przypadku zwłok. Jest od tego specjalna firma pogrzebowa, obsługująca transport prochów do kraju. To usługa certyfikowana i bardzo kosztowna. Przesyłka przebiega wówczas na podstawie specjalnych międzynarodowych dokumentów granicznych. Dokonywana jest kwarantanna i wszystko odbywa się z należytych ceremoniałem.

Dokumenty trafiają do urzędu miasta, a po rejestracji są podstawą uzyskania oficjalnej zgody na pogrzeb. Tymczasem, ta zwykła paczka z dalekiej Australii, wysłana przez oszczędną rodzinę Marthy, trafiła do Warszawy jak towar ze sklepu internetowego. Czyżby wyekspediowano prochy Janka bez ceregieli, najmniejszym kosztem? Siostry deliberowały nad ową paczką,

szarym, nieotwieralnym podłużnym plastikowym pudełkiem, nie mając pewności, co się właściwie w niej znajduje. Ostatecznie nigdy jej nie otwarto.

Nikt nie domyśliłby się, ile zachodu kosztowało nakłonienie Urzędu Miasta Stołecznego Warszawy do pominięcia obowiązujących procedur. Naczelnik po trzech tygodniach nieustannych wizyt i próśb, po uzyskaniu potwierdzenia zarządu cmentarza o możliwości złożenia urny Janka w rodzinnym grobie, zgodził się w końcu zarejestrować oficjalnie szare pudełko jako prochy zmarłego na obczyźnie Polaka i wydać zgodę na jego pochówek. Na początku listopada 1998 roku doszło w Warszawie do podwójnego pogrzebu – męża jednej z sióstr oraz Janka.

Zagadka – co znajdowało się w plastikowym pudełku – nigdy nie została rozwiązana. Z Australii nie przyszedł żaden list, który zawierałby tę, tak istotną, informację. Był wprawdzie jeden telefon, który odebrała siostra Janka, ale... ona nie zna angielskiego!

TRUDNY POWRÓT

Powrócił do ojczyzny po ośmioletnim pobycie w stolicy kraju położonego za polską północno-wschodnią granicą. Jakaś bardzo grzeczna pani, wsłuchując się w jego obco brzmiący akcent, zapytała uprzejmie:

– A gdzie nauczył się pan tak ładnie mówić po polsku?

Lekko uśmiechnął się, ale nic nie odpowiedział, tylko zajrzał głębiej w zakamarki własnej duszy, zadając sobie jedno pytanie:

– Ile z Polaka we mnie zostało?

Kiedy jest się przez wiele lat w obcym kraju, to czy chcesz, czy nie, zaczynasz myśleć kategoriami tych, wśród których przebywasz. Na myśl przychodzą ci ich przysłowia i potoczne zwroty, a zwyczajnie przestają wydawać się dziwne. Przesiąkasz ich mądrością i z czasem godzisz się z faktem, że pojawił się w tobie drugi człowiek, z którym musisz żyć w zgodzie. W końcu wy dwaj to różniące się kulturowo, ale jakże bliskie sobie osoby.

Uprzejma pani zwróciła uwagę na jego śpiewny i zaciągający akcent. Cóż, niczego więcej nie dało się zauważyć podczas pierwszego kontaktu z nieznanym. Jej komentarz spowodował, że coś w nim drgnęło, bo wiedział, że tak naprawdę podczas pobytu za granicą nastąpiły w nim zmiany głębsze niż nabyty obcy akcent, który dostrzegła nieznajoma. I tak rozległe, że zaledwie część z nich był w stanie dostrzec.

Teraz, po latach, wie, że jeśli pojawi się ponownie w miejscu, które kiedyś było jego domem, przejdzie silny wstrząs, może jakąś wewnętrzną metamorfozę? A w jej wyniku powróci jego dawny sposób myślenia, odżyją ówczesne radości, rytm życia i emocje. Może

odrodzi się tamto wewnętrzne napięcie wywołane wolą przetrwania wobec otaczających go przeciwności. I uzna te lata za stracone?

Może właśnie z powodu tych refleksji od ponad dwudziestu lat nie wsiada do samochodu, by jak kiedyś pokonać w kilkanaście godzin dystans ośmiuset kilometrów dzielący Warszawę od bliskiej mu stolicy innego państwa. Fakt, że dzisiaj ten kraj należy do Unii Europejskiej, niczego nie zmienia. Wie, że tak naprawdę tworzą go wciąż ci sami znani mu ludzie, których hierarchia wartości ulega bardzo powolnym przemianom. Unijne sztandary i postęp cywilizacyjny nie zmieniły diametralnie ich mentalności i światopoglądu wyniesionego z domu, ukształtowanego i utrwalonego przez reguły systemu politycznego, w którym żyli wcześniej.

Wie, że jeśli kiedyś tam pojedzie, to na rogatkach tego pięknego miasta spotka drugiego siebie, człowieka, który wyjeżdżał stamtąd przed laty. A właściwie był tam stale, bo druga dusza gdzieś w nim przetrwała. I boi się. Gdyby stanęli naprzeciw siebie, natychmiast zrodziłaby się potrzeba oceny zdarzeń i decyzji sprzed lat. Niełatwo byłoby mu sprostać wielkiemu naporowi myśli, wywołanemu powrotem dawnych emocji i pragnień. A jak wypadłaby ocena jego obecnego życia dokonana przez tamtego siebie? Rozliczyć się z samym sobą jest bardzo trudno.

Jak dziś obroniłby racje i postępowanie tamtego siebie, mając za sobą lata nowych doświadczeń i odmienioną nimi osobowość? Jak uzasadniłby podejmowanie tylu ryzyk, osobistych, zawodowych, biznesowych, nawet ryzyka utraty czegoś dla człowieka najcenniejszego?

Wciąż więc, z roku na rok, odkłada ten trudny powrót. Wie, że gdy znów tam się znajdzie, odżyje z wielką siłą jego dawny świat, a skala związanych z tym przeżyć i potrzeba samooceny może okazać się trudnym do udźwignięcia ciężarem.

Może jednak, niezmiennie odkładając swoje spotkanie z przeszłością, niepotrzebnie oddala rozliczenie z samym sobą? A jego potrzeba nie znika. Wręcz przeciwnie, towarzyszy mu stale i wciąż narasta. Wie, że unikanie tej konfrontacji to jak przekładanie na jesień ważnego egzaminu, od którego zależy wszystko.

ANONIMOWY BOHATER

Czasem zastanawiam się nad definicją odwagi. A właściwie myślę o tym bardzo często. Nie jest łatwo zanalizować siebie samego, tak do głębi, by móc przewidzieć swoją reakcję w ekstremalnej sytuacji. Są w życiu chwile, gdy stajemy w obliczu zagrożenia bezpieczeństwa własnego, naszych bliskich, także osób obcych.

Zadaję sobie pytanie – jak ja zachowam się w ekstremalnie groźnej sytuacji? Dam się ponieść nieszczęściu, czy przeciwnie, stawię czoła zagrożeniu? I od czego zależeć będzie moja reakcja? Czy zachowanie zimnej krwi wynika z silnej psychiki, konkretnych okoliczności i reakcji emocjonalnej, stanu ducha w tym konkretnym momencie? Może zależy od wszystkich wymienionych czynników jednocześnie?

Czym właściwie jest odwaga, bohaterstwo, opanowanie? Czy chcemy przetrwać, bo życie, nawet takie z pozoru zwykłe i czasem nieszczęśliwe, jest dla nas wartością nadrzędną, wobec której reszta spraw przestaje mieć znaczenie?

W chwili nagłego zagrożenia w mózgu następują jakieś gwałtowne reakcje nerwowe, także fizyko-chemiczne, które wyłączają pewne obszary świadomości, włączają zaś inne. Działa mechanizm samoobrony. Może wyłącza się myślenie wielowątkowe, a ciało posłuszne jest prostym nakazom umysłu wynikającym z instynktu samozachowawczego? I właśnie wtedy działamy z nadzwyczajną siłą?

Tragedia w Kaprun jest wydarzeniem, które często skłania mnie do rozważania ludzkich zachowań i analizy reakcji wobec zagrożenia. Mój syn, który z grupą kolegów i trenerem jeździł tam przez kilka sezonów, mógł być jednym z nieszczęsnych narciarzy, którzy zginęli.

Leżąca na południowy zachód od Salzburga, u podnóża głównego grzbietu alpejskiego, masywu Wysokie Taury, wypoczynkowa miejscowość Kaprun, jest jednym z głównych ośrodków narciarskich w Austrii. Ze wszystkich austriackich ośrodków narciarskich to ośrodek najbardziej „polski”. Stosunkowo niewielka, możliwa do przebycia w jeden dzień, odległość ośmiuset kilometrów, która dzieli Kaprun od przejścia granicznego w Cieszynie, sprawia, że na znajdujących się tam stokach język polski można usłyszeć codziennie. Największą atrakcją dla narciarzy przyjeżdżających do Kaprun jest położony na wysokości 3203 m n.p.m. lodowiec Kitzsteinhorn.

Mieści się tam czynny przez cały rok ośrodek narciarski, przyciągający świetnymi warunkami wielu amatorów białego szaleństwa. Miejsce to charakteryzuje się dużą różnorodnością tras, wśród których znajdują się stoki przeznaczone dla wytrawnych narciarskich zapaleńców, jak i takie, po których śmiało mogą jeździć początkujący narciarze i snowboardziści.

Na Kitzsteinhorn dostać się można za pomocą jednej z wielu kolejek górskich, których stacje zlokalizowane są kilka kilometrów od Kaprun. Są tam kolejki gondolowe i wyciągi krzesełkowe, ale dominującym elementem krajobrazu jest potężna konstrukcja zwana Kretem. To kolejka poruszająca się na szynach, napędzana za pomocą liny wyciągowej.

Oficjalnie kolejka ta nazywa się Kaprun 2. Zbudowano ją w roku 1974, a dwadzieścia lat później została zmodernizowana. Jej trasa ma początek w Thoerl w Dolinie Kaprun, a całkowita długość wynosi blisko cztery kilometry. Pierwszy, liczący sześćset metrów odcinek przebiega po wznoszącej się stalowej estakadzie, zaś pozostała trasa w wąskim tunelu, nachylonym pod kątem czterdziestu dwóch stopni. Kolejka górską w Kaprun przypomina więc nieco naszą zakopiańską

kolejkę na Gubałówkę – z tą różnicą, że jej trasa biegnie w tunelu – stąd właśnie wzięła się jej popularna nazwa – Kret.

Wiele osób nie lubi wjeżdżać Kretem na lodowiec Kitzseihorn. Z dwóch zwykle zatłoczonych wagoników tej kolejki niewiele można zobaczyć. A wrażenia podczas jazdy w tunelu nie są szczególnie przyjemne. Nikt z korzystających z Kreta w Kaprun nie przypuszczał, że właśnie ta kolejka okaże się dla pasażerów śmiertelną pułapką. Austriaccy specjaliści od bezpieczeństwa kolejek górskich zawsze twierdzili, że jest ona znacznie bezpieczniejsza od wyciągów krzesłkowych i gondolowych. Uzasadniali to tym, że w przypadku ewentualnego zerwania liny ciągnącej wagoniki, nie spadną one w dół, gdyż wyposażone są w hamulce szynowe, dokładnie takie same, jakie posiadają windy.

Feralnego dnia, 11 listopada 2000 roku, duża grupa polskich narciarzy spóźniła się na kurs Kreta. Do wagoników wsiedli głównie Niemcy i Austriacy, by wjechać na szczyt Kitzsteinhorn. Nikomu nie przyszło do głowy, że jazda kolejką może się wiązać z jakimkolwiek ryzykiem. Tym razem wagoniki Kreta do stacji końcowej nie dotarły.

Z wylotu tunelu u szczytu góry buchnęły nagle ogromne kłęby czarnego dymu. O tym, jak dużo było tego dymu, świadczyć może fakt, że trzech pracownicy obsługi technicznej, którzy znajdowali się na stacji końcowej, bezpośrednio przy wylocie tunelu, ulegli śmiertelnemu zacczadzeniu.

Pasażerowie kolejki nie mieli szans na przeżycie. Tunel, nachylny pod kątem czterdziestu dwóch stopni, zadziałał jak gigantyczny komin. Panujący w nim potężny przeciąg błyskawicznie podsycił płomienie. Pożar wybuchł i gwałtownie się rozprzestrzenił, w momencie, gdy wagoniki znajdowały się kilkaset metrów powyżej wjazdu do tunelu.

Ta ogromna katastrofa ma anonimowego bohatera, który jako jedyny pasażer kolejki zachował zimną krew. Zdobywając się na nadludzki wysiłek, rozbił, w tylko sobie wiadomy sposób, odporną na najmocniejsze uderzenia tylną szybę drugiego wagonu. Wziął na ręce omdlałych od dymu dwóch chłopców i pobiegł w dół zadymionego tunelu, w którym już szalał ogień i panowała bardzo wysoka temperatura. Przez otwór w wybitej przez tego mężczyznę szybie zdążyło wydostać się z kolejki i uratować jeszcze dwanaście osób.

W pożarze kolejki górskiej Kret w Kaprun zginęło stu pięćdziesięciu pięciu narciarzy i snowboardzistów. Śledztwo wyjaśniło przyczynę pożaru. Zapaliła się drewniana obudowa termowentylatora, której tam nie powinno być. Ogień szybko rozprzestrzenił się ku górze tunelu po zalegających torowisko plamach smarów i strużkach płynów hamulcowych.

O naszym życiu nie decydujemy wyłącznie my sami. Zależy ono od losu, szczęścia, ułamka sekundy, czyjejs przytomności umysłu.

To jasne, że w kolejce było wiele wysportowanych osób, silnych i odważnych. Ale utorować drogę ewakuacji zdołała jedna. Emocje wyzwoliły w bezimiennym mężczyźnie niewyobrażalną siłę. Zbiegł w dół kilkaset metrów w dymie i płomieniach, nie myśląc wyłącznie o sobie. Uratował dwa młode życia, narażając własne. I dał szansę kilkunastu innym. Stał się wielkim, prawdziwym bohaterem.

Moją refleksją jest konstatacja, że są sytuacje, których nie można przewidzieć. I świadomość, że zachowując sprawność fizyczną, prowadząc zdrowy tryb życia, dajemy sobie więcej szans na przetrwanie nieszczęśliwych, niespodziewanych zdarzeń. Możemy pomóc swojemu szczęściu. Mądre przysłowie brzmi: w zdrowym ciele zdrowy duch.

MRÓZ JEST WIELKIM ARTYSTĄ

W latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku, kiedy mieszkaliśmy we Włochach, zimy były mroźne i śnieżne, a okresy letnie bardzo gorące. Skwar i żar dosłownie lały się z nieba. Nadejścia lata i zimy oczekiwaliśmy z wielką niecierpliwością. Zima zaczynała się już w październiku, ledwo zdążyliśmy pozbierać kasztany i zebrać orzechy. Jazda na sankach, nartach, łyżwach – albo po prostu na butach, w dół z wyslizganej górki, lub po zamarzniętych kałużach stanowiła dla dzieci nie lada atrakcję. Po jesiennej, smętnej i deszczowej przerwie pasje sportowe odżywały z nową siłą.

Jednego roku, po Bożym Narodzeniu, śnieg padał bez przerwy. Już po dwóch dniach nie mogliśmy wyjść z domu. Zasypał drzewi wejściowe i nie dało się ich otworzyć. Syn sąsiadów wyskoczył z okna na parterze w śnieg po pas i je odkopał. Padało nieustannie. Po czterech dniach chodziliśmy tunelami wykopanymi w śniegu. Byłem mały, więc poza ścianami tunelu i dróżki przed sobą niczego więcej nie widziałem. Aha, jeszcze zachmurzone niebo nad głową, z którego nieprzerwanie padały białe, wirujące płatki.

Mróz jest wielkim artystą – w podziw wprawiały mnie fantastyczne rysunki ze szronu na szybach – gwiazdki, esy-floresy, jakieś ozdóbki zawijane we wszystkie strony i regularne, cudowne formy spadających płatków.

Można było szaleć do upadłego, lepić bałwany z nosem z marchewki i oczami z węgielków. Wieczorem padaliśmy ze zmęczenia, z trudem ściągając z siebie, zazwyczaj kompletnie przemoczone, a przy tym zeszywniałe od mrozu: buty, spodnie, kurtki, rękawice. Leżały później przy rozpalonym piecu i suszyły się. Do rana

musiały wyschnąć – innych rzeczy na zmianę nie było. Czasem podczas szaleństw na dworze coś zaginęło: rękawiczka, czapka albo szalik. Zawsze była za to potężna bura.

Zimą i latem najwięcej czasu spędzaliśmy nad stawem, do którego od domu było nieco więcej niż sto metrów. Miał głębokość od kilku do kilkunastu metrów. Jego brzegi, ostro pochylone, szybko zagłębiały się w lodowatą wodę. Nawet latem była chłodna, bo z dna były zimne źródła. Nagrzana na wierzchu, paraliżowała zimnem nogi i ręce po głębszym zanurkowaniu. Staw był rozległym wyrobiskiem, z brzegami z tłustej gliny, po której ślizgały się nasze stopy. Chwila nieuwagi i można było dosłownie „wjechać” do głębokiej wody.

W okresie, gdy tam mieszkałem, utonęło w stawie kilkoro dzieci, które bez opieki dorosłych bawiły się nad wodą. Było wtedy naturalne, że każdy z nas sam musiał martwić się o siebie. Taka szkoła przetrwania dla maluchów. Błąkały się z kluczem na szyi po okolicy, dopóki z pracy nie wróciła matka albo ojciec.

Spoglądając dziś na mapę, widzę, że staw ma nazwę: Kozioróżca. Rozciąga się pomiędzy ulicami Rybnicką (tam mieszkaliśmy), Globusową a biegnącą łukiem ulicą Kozioróżca.

Zimą staw zwykle pokrywała gruba warstwa lodu. Miała trzydzieści – czterdzieści centymetrów, a czasem więcej! Mógłby więc po niej jeździć osobowy samochód. Lód miał swoją wartość użytkową i handlową. Za pomocą pił wyrzynano w stawie prostopadłościennie bloki. Miały określone wymiary, około 80 cm długości, a przekrój kwadratowy – taki, jak grubość pokrywy lodu.

Obok stawu wykopywano doły głębokie na trzy metry, wypełnione trocinami. W nich przechowywano bloki lodu, przysypane grubą warstwą trocin i ziemi do następnej zimy. Wiosną, latem

i jesienią co kilka dni dokądś je zabierano. Po roku 1960, gdy pojawiły się lodówki i chłodnie, metodę tę stopniowo ograniczano, aż przestano z niej w ogóle korzystać.

Ten sposób pozyskiwania lodu do chłodzenia i zamrażania produktów miał wieloletnią tradycję, gdy prąd i lodówki jeszcze nie istniały. W lodowniach przechowywano produkty żywnościowe. Lodownia to pomieszczenie – rodzaj ziemianki, do której w zimie przywożono bryły lodu wyrąbane z pobliskich jezior czy stawów. Jej wnętrze znajdowało się częściowo pod powierzchnią gruntu, przysypana była grubą warstwą ziemi. Lód utrzymywał się w niej do następnej zimy, a temperatura wewnątrz wahała się w okolicy zera.

Z zewnątrz typowa lodownia wyglądała jak dwu- albo trzymetrowej wysokości pagórek o stromych stokach, zaopatrzonej w solidne drewniane drzwi. Za tymi drzwiami zwykle kilkanaście schodków prowadziło w dół, do poziomej podłogi wyłożonej kamieniami, łupkami i wysypanej trocinami. Gdy nie było przygotowanej piwniczki, bloki lodu układano w jakimś zamkniętym pomieszczeniu. Na kolejne warstwy sypano wióry. W takim przekładaniu lód przechowywano aż do późnej jesieni.

Miejsca na stawie, w których wyrąbano bloki lodu, nie były niczym oznaczane. Były to przeręble – poletka wodne, czyli dziury w lodzie, które wieczorem, gdy temperatura spadała znacznie poniżej zera, błyskawicznie pokrywała warstewka cienkiego lodu. Miały czasem po kilkadziesiąt metrów kwadratowych.

Nocne opady śniegu i porywy wiatru sprawiały, że rano cały staw pokrywała równa, gładka warstwa świeżego puchu, doskonale maskująca zdradliwe przeręble.

Gdy radośnie wbiegaliśmy na staw, ślizgać się, albo zjeżdżaliśmy do niego ze stromych brzegów na sankach i nartach, zapominaliśmy, że czyhają na nas takie pułapki. Wejście albo wjazd na niewidoczny przerębел stanowiło śmiertelne niebezpieczeństwo. Ubrani w grube kurtki i spodnie, wełniane swetry, ciężkie zimowe buty, na łyżwach czy z nartami, w momencie znalezienia się w lodowatej wodzie narażeni byliśmy na szybkie utonięcie.

Wpadając w niewielki przerębел, można było znaleźć się niemal natychmiast pod grubym lodem – nie widząc nad sobą żadnego otworu i drogi ucieczki. Nasiąknięte ubrania i buty wciągały do dna. Chłód i szok paraliżował całe ciało. Już trzy metry od brzegu stawu woda miała kilka metrów głębokości.

Po szkole, zimą, szybko zapadał zmierzch. Gdy tam przybiegaliśmy, zwykle było już szaro lub całkiem ciemno. Niemal nie było zimy, by któreś z okolicznych dzieci nie topiło się. Na widok tonącego dzieci ze strachu uciekały albo biegły zawołać dorosłych. Pomoc często przybywała zbyt późno.

Nieszczęścia nad stawem spotykały nie tylko dzieci. Wielu dorosłych nieustannie łowiło ryby, z zamiłowania, ale i potrzeby – w sklepach trudno było je kupić, w ogóle panował powszechny głód i bieda. Do przerębli wpadali wędkarze, którzy ryzykowali wchodzenie na staw wczesną zimą. Wtedy pokrywa lodu była bardzo cienka. Wędkarze sami wyrąbywali przeręble, by móc w nich łowić.

Także wiosną ginęli ci, którzy podejmowali ryzyko, gdy lód podtopiony słońcem szybko tracił grubość i wytrzymałość. Czasem wchodziliśmy na słaby lód, popisując się, kto dalej zajdzie. To była jedna z zabaw mojego dzieciństwa. Lód trzeszczał i pojawiały się pęknięcia – rysy biegły wciąż dalej i dalej...

Nie raz zdarzało się, że wpadłem po kolana, ale jedno zdarzenie zapamiętałem do końca życia. Miałem wtedy osiem lat. Był silny mróz. Późnym popołudniem, po szkole, mając przed oczami wyścigi psich zaprzęgów z książki Jacka Londona, zorganizowałem taki „zaprzęg” z młodszych ode mnie dzieci.

Moje „pieski” ochoczo rwały do przodu i po chwili znaleźliśmy się nad stawem. Nad stromym brzegiem dzieciaki puściły sznurek i rozpiechły się na boki, a ja zjechałem na rozpędzonych sankach w dół – na lód.

Zatrzymały się kilkanaście metrów od brzegu. Siedząc na nich, poczułem, że płozy dosłownie osuwają się, lód ugina się, trzaska i dookoła błyskawicznie pojawia się woda. Wjechałem w dopiero co zamrznięty przerębел.

Uciekać! – nacisk nóg zdjętych z sanek od razu wywołał gwałtowny trzask lodu, który pękał coraz szybciej. Jedna noga już była w wodzie. Zsunąłem się z sanek, prawie leżąc na promieniście trzaskającej i zapadającej się coraz głębiej cieniutkiej tafli. Gdy próbowałem pełznąć do brzegu, lód pode mną załamał się. Byłem najpierw po pas, a za chwilę po piersi w wodzie.

Dzieciaki uciekły z krzykiem. Złapałem wiązkę trzciny, która była w zasięgu ręki, potem wsparłem się na krawędzi grubszego lodu, powoli przesuając się do brzegu. Po chwili, która wydawała się nie kończyć, poczułem grunt pod nogami. Kiedy dotarłem do skraju stawu, dookoła nikogo nie było.

Trząsałem się z zimna. Gdy szedłem do domu, całe ubranie zdążyło na mnie zamrznąć. Po jego zdjęciu zaczęto mnie rozgrzewać, nacierając ciało terpentyną, której ostry zapach pamiętam do dziś. Usłyszałem wiele cierpkich słów. Jednak po kilku dniach znów tam poszedłem.

Bo czy jest coś lepszego od zimowych szaleństw nad stawem?

Mój codzienny świat stanowiła najbliższa okolica. O każdej porze roku mieliśmy mnóstwo pomysłów na zabawę i rywalizację. Biegając niemal przez cały dzień samopas, czuliśmy się wolni i szczęśliwi. To było całkowite zaprzeczenie współczesnego zniewolenia w domu przed komputerem lub telewizorem.

Wszystkie sezonowe atrakcje jednak w końcu obrzydłą – nawet zimowe, szczególnie kiedy zima traciła swój urok przez roztopy, kałuże i błoto. Wtedy z pomocą podążała wiosna, a potem lato, niosąc odmianę. Rower wracał do łask. Ruszały podchody, rozpalaliśmy wiosenne ogniska i piekliśmy w nich kartofle. Nie mieliśmy pojęcia, co to jest nuda.

OCZAMI CHŁOPCA Z PRZEDMIEŚCIA

Po drugiej wojnie, by przejść ze Starych Włoch na Nowe, mogliśmy wybrać drogę przejściem podziemnym pod peronami albo przez przejazd zamykany na szlabany. W przejściu dla pieszych pod peronami zwykle stała woda. Ganiałiśmy się tam w gumowcach. Prawdziwą atrakcją stanowił dla nas przejazd kolejowy. Właśnie tam mnóstwo się działo. Ruch pociągów był intensywny, więc szlabany otwierano na bardzo krótki czas.

Na przejeździe w długiej kolejce czekały wozy konne, ręczne platformy na dwóch kółkach, piesi, rowerzyści, czasem jakaś ciężarówka albo autobus. Każdy chciał przejechać i wszystkim się spieszyło.

Bacznie pilnowali swojego miejsca w kolumnie, bo następna okazja mogła być za pięć minut albo... za godzinę. Obraz stłoczonych ludzi, pojazdów i zwierząt symbolizował trudne, powojenne życie – ubogie, brudne i prymitywne. Dni upływały na zdobywaniu podstawowych produktów i niezbędnych przedmiotów.

Zewsząd dochodziło rżenie koni, gwar rozmów i sporów, turkot kół wózków i wozów z żelaznymi obręczami. Wokół roznosił się zapach końskiego łajna tworzący w powietrzu nieprzyjemną mieszaninę ze spalinami autobusu.

Ludzie ze wsi przemieszczeni do miasta nie przechodzili łatwo adaptacji do nowych warunków. Ich standardy i potrzeby były inne. Z ciekawości często tam przychodziliśmy, by obserwować ten szczególny spektakl.

Sceny mrozące krew w żyłach były na porządku dziennym. Zdarzenie goniło zdarzenie. Jedna historia utkwiała mi w pamięci na zawsze, poznaście prawdziwą relację „na żywo”.

Wóz z węglem wjeżdża na przejazd, mimo że dróżnik dał sygnał brzęczkiem i właśnie opuszcza szlabany. Woźnica zostaje uderzony dolną poprzeczką szlabanu zawieszoną na ruchomych, zwisających prętach. Upada do wnętrza wozu, który staje w poprzek torów, uwięziony na przejeździe pomiędzy zamkniętymi szlabanami. Słychać przeraźliwy huk i gwizd nadjeżdżającego dalekobieżnego pociągu relacji Warszawa–Berlin. Gwałtownie narasta stukot drżących szyn.

Dróżniczka, chcąc zapobiec katastrofie oraz niechybnej śmierci człowieka i konia, a jeśli pociąg wykolei się tuż przed peronami – Bóg wie czyjej jeszcze, ze wszystkich sił kręci korbą, próbując unieść szlaban przed koniem.

Metalowa bariera zdaje się podnosić całą wieczność, podobnie jak woźnica, który, mając widocznie w czubie, z wolna wstaje na kolana i co widać wyraźnie, nie w pełni zdaje sobie sprawę z grożącego mu niebezpieczeństwa.

Widząc unoszącą się zaporę, batem mocno uderza konia. Przód nadjeżdżającej lokomotywy wyrzucającej pióropusz dymu i pary właśnie mija budynek zawiadowcy. Po chwili, nie zwalniając biegu, wjeżdża na przejazd.

Tymczasem uderzony batem koń, po szalonym szarpnięciu, w wyniku którego woźnica znów spada z ławki, ciągnie wóz przez tory.

Na oczach przerażonych ludzi lokomotywa ociera się o tył wozu, łamiąc wystający drąg rozswory, zrzucając zawieszoną na nim

lampę naftową. Huk pędzących wagonów trwa mgnienie i nagle ustaje, a pociąg znika równie prędko jak się pojawił. Chwila ciszy.

Z budyńku zawiadowcy wybiega kolejarz, ludzie wokół krzyczą z wrażenia, strachu i emocji. Gawieź jak zwykle jest podzielona. Jedni słusznie złorzeczą pijanemu woźnicy, ktoś inny wymyśla dróżniczce, bo dopiero teraz zauważają, że to kobieta.

Wybucha spór o to, czy woźnica wjechał zbyt późno, czy szlaban zamknięto za wcześnie. Nie jest dla nich ważne, że brzęczenie dzwonka oznacza obowiązek wstrzymania ruchu na przejeździe i z niewielką zwłoką następuje opuszczanie szlabanu.

Zasada, kto zdąży – ten spryciarz, kto nie – ten pechowiec i fujara, wydawała się wtedy najzupełniej naturalna. Ten survival mieliśmy dosłownie zakodowany w głowach. Muszę spróbować, może się uda... na pewno się uda. Słowo „uda się” było mottem naszych zachowań i tkwiło głęboko w mentalności.

Stale sprawdzaliśmy, czy i jak bardzo sprzyja nam szczęście.

A co tam – stanę na stopniu ruszającego tramwaju, choć miejsca starcza na jedną stopę, przytrzymam się gościa, który już trzyma poręcz jedną ręką. Może ci z przodu wcisną się do środka i ja złapię za poręcz? Może się uda.

Raz kozie śmierć – przebiegnę przez przejście, bo samochody dopiero ruszają. Może się uda.

Trudno – pobiegnę przez tory i wdrapię się na peron, bo mój pociąg zaraz rusza, a na przejście tunelem nie mam już czasu. Przecież nie będę czekać trzy godziny na następną. Może się uda.

I później komentarz: nie udało mu się... stopa uwięzła w szynach, bo akurat przestawiano zwrotnicę. Wyszarpnąć buta nie zdołał i nadjeżdżający pociąg zabrał go ze sobą w otchłań wieczności. A, miał pecha, bo to..., bo tamto...

Chciał popisać się przed kumplami i tym razem mu nie wyszło. Mój los i losy moich kolegów zależały właśnie od szczęścia i zbiegów okoliczności.

Musiało się udać. Ryzyko było integralną częścią tamtych czasów, mieliśmy je we krwi. Podejmowanie go, trzeba czy nie trzeba, było uważane za coś normalnego. Dla sportu. I to podpuszczanie pod ambicję – co, nie zrobisz tego? Nie potrafisz? Boisz się?

– Co? Ja się boję? Zaraz ci pokażę bracie, co potrafię.

Było dla nas jasne, że jeśli komuś nie dopisuje szczęście albo jest po prostu gapą, to prędzej czy później marny spotka go los.

HAKUNA MATATA

WSZYSTKO DOBRZE

(Kenia)

Przeskok w inny świat w ciągu dwunastu godzin. Rano start z Warszawy spowitej lutową, zimową szatą. Międzyrządowanie w samo południe w egipskiej Hurghadzie. Tankowanie ma trwać blisko godzinę – opuszczamy samolot i siedzimy stłoczeni w małej salce na lotnisku. Nie czujemy się bezpieczni – to czas rewolucji w Egipcie. Odsunięcie od władzy Husni Mubaraka nie przebiega pokojowo. Powracamy na pokład samolotu i przez iluminator z ulgą obserwujemy oddalający się ląd. Jesteśmy nad Oceanem Indyjskim – lecimy do Mombasy, celu naszej podróży. Bagatelka – czeka nas kolejne pięć godzin lotu, tym razem wzdłuż południka, ku równikowi.

Lądujemy w mieście pogrążonym w ciemnościach. Jest godzina dwudziesta. Z góry niewiele widać, jakieś pojedyncze światła. Lekkie uderzenie kół o betonowy pas i niemal natychmiast wsteczny ciąg silników, który wyrывa ciało z fotela. Trwa to kilkanaście sekund, samolot zaczyna toczyć się coraz wolniej. Słychać szcęk odpinanych pasów – jesteśmy na półkuli południowej. Przed nami wyrasta niski, szary budynek hali przylotów – bardzo słabo oświetlony.

Po wyjściu z klimatyzowanego samolotu odczuwamy silne uderzenie fali ciepła. Zdejmuję z taśmy bagaż, wypisuję deklarację wjazdową. Ustawiam się do odprawy paszportowej – mam do wyboru trzy stanowiska. Szykuję pięćdziesiąt dolarów na wizę. Po chwili okazuje się, że przewodniki wprowadzają w błąd.

Dziewczyna w mundurze kenijskiej służby granicznej prosi o dwadzieścia pięć. Więcej przyjąć nie chce – wyprowadza mnie z błędu i uśmiecha się przyjaźnie.

Po odprawie wita nas szeroki i grzeczny uśmiech Murzynki z obsługi lotniska zwracającej się po angielsku. Kieruje nas ku wyjściu. Po chwili, pchając wózek, znajdujemy gościa z tabliczką naszego biura podróży. Zaznacza na liście nasze nazwiska i komunikuje: autobus nr siedem. Z trudem ciągniemy walizki po nierównym chodniku ku zdezelowanemu autobusowi. Kierowca zabiera nasze bagaże i wstawia je do luku, gdzie już piętrzą się obce torby i walizki. Spoglądam na twarze współpodróżników, wiedząc, że przynajmniej z niektórymi z nich będę dzielić dole i niedole pobytu w tym samym hotelu. Szybka lustracja wizualna nie nastraja zbyt optymistycznie. Poziom toczących się rozmów pogłębia i tak nie najlepsze wrażenie. Później widujemy się zwykle podczas posiłków, bo każdy zupełnie indywidualnie wypełnia atrakcjami swój pobyt.

Czekamy w autobusie, silnik pracuje. Nie wiemy, dlaczego nie ruszamy. Po czterdziestu pięciu minutach zaczyna się jazda. Przed nami droga do Kilifi – miejscowości położonej około sześćdziesiąt kilometrów na północ od Mombasy. Z okien autobusu widać jakies upiorne budy sklecone z desek, tektury, papy i nie wiadomo czego jeszcze, obłożone przez tłum stojących i siedzących osób. Napisy w rodzaju: Miami Bar albo Exclusive pogłębiają dysonans świata marzeń i ponurej rzeczywistości.

W autobusie szumi klimatyzacja, działa na całe szczęście, bo na zewnątrz jest ponad trzydzieści stopni i panuje duchota. A wylatywaliśmy z Warszawy przy lekkim mrozie. Jazda zdaje się nie mieć końca. Przeciskamy się przez zatłoczone ulice. Co chwila

autobus zwalnia przed wykonanymi w jezdni ogromnymi programami spowalniającymi, zmuszającymi kierowcę do ograniczenia prędkości niemal do zera.

Gdy dojeżdżamy do hotelu, jest już wpół do jedenastej i panuje głęboka ciemność. Zmęczenie podróżą nie zabija w nas odruchu samoobrony przed zaproponowanym nam przez obsługę zasiedleniem w obskurnym domku, znajdującym się pośrodku kompleksu hotelowego – blisko basenu. Po jego obejrzeniu udajemy się do recepcji, której pracownik, w rezultacie naszej presji, ujawnia wreszcie możliwość zakwaterowania w pięknym bungalowie w pierwszej linii zabudowy – tuż przy plaży, z widokiem na ocean z okien i tarasu. Bungalow ma sześćdziesiąt metrów kwadratowych, dwa pokoje, dwa hole, dwie umywalki, dużą łazienkę, sejf oraz niezbędną w Afryce moskitierę nad wielkim tapczanem. Jest więc przestronny, czysty i całkiem fajnie wyposażony.

Ta decyzja kosztuje nas wprawdzie trzysta pięćdziesiąt baksów, ale przesądza o jakości dwutygodniowego odpoczynku. Od tego dnia oceaniczna bryza wspaniale łagodzi skutki wysokiej temperatury, która towarzyszy nam podczas całego pobytu. Wylegujemy się na miękkim łóżu z wielkimi poduchami ustawionym przed bungalowem, przenosząc od czasu do czasu wzrok ze stron trylogii *Millenium* Stiega Larssona ku oceanowi.

Jest zazwyczaj spokojny, choć są dni, gdy szaleją wzburzone fale. Horyzont zwieńcza biała linia. Tam fale uderzają w rafę koralową, ciągnącą się kilometr od piaszczystego brzegu. Hasło do internetu okazuje się prawidłowe, więc na zdjęciach Earth Google widzimy pod Kilifi prosty pas wody rozbryzgującej się na rafie. Rafa jest przyczyną stale utrzymującej się wysokiej temperatury wody przy plaży, która dochodzi do trzydziestu czterech stopni.

Woda oceanu odgradzona rafą stanowi zamknięty akwen silnie nagrany słońcem. Pierwszy raz dłuższy pobyt w wodzie nie stanowi dla mnie problemu termicznego – a także fizycznego – bo silne zasolenie zapewnia całkowitą wyporność – można unosić się na powierzchni, nie wykonując żadnych ruchów.

Jest tak bosko, że nawet na myśl nie przychodzi ewentualność spotkania z rekinami. Łączące się ze sobą oceany to jeden ogromny nieznaną świat, pełen wielobarwnej fauny i flory.

Świat fascynujący swoją wielkością i różnorodnością – wody zajmują dwie trzecie powierzchni kuli ziemskiej.

Nie odczuwamy obecności hotelowych gości. Widzimy ich na basenie i podczas posiłków. Do okien naszego bungalowu dociera jedynie szum oceanu, odgłosy ptaków i piski małp, które usiłują rozgościć się na tarasie. Nie jest łatwo je odgonić. Te małe złodziejki próbują nawet wejść do pokoju.

Uczestniczymy w urzekających wieczornych lokalnych tańcach i śpiewach w suahili, które odbywają się na niewielkiej estradzie.

Obsługa hotelu, okoliczni mieszkańcy, sprzedawcy ze sklepików, kierowcy najróżniejszych pojazdów, słowem wszyscy wokoło mają ciemnobrązowy lub bardzo ciemny, wręcz czarny kolor skóry. W ich rysach można dostrzec domieszkę krwi arabskiej – szczególnie w większych miastach – Mombasie, w okolicach starego fortu i portu znajdującego się nieopodal. Z reguły pogodni i uśmiechnięci chętnie rozmawiają z obcymi po angielsku. Między sobą mówią w suahili. Przez cały pobyt nie dochodzi do żadnego nieporozumienia z miejscowymi. Są spokojni i niezwykle uprzejmi. Stresują się, jeśli nie mogą w czymś pomóc. Gdy chcą coś sprzedać, robią to, nie przekraczając granicy bezczelnego natręctwa, które jest powszechne np. w Egipcie. Chętnie mówią o swoim życiu,

wielodzietnej rodzinie, własnych pasjach i zainteresowaniach. Budzą sympatię, są życzliwi i skorzy do pomocy.

Zręczni, silni i sprawni Masajowie oferują zrzućenie kokosów z nadbrzeżnych palm, które rosną tuż przy bungalowie. Na wysokość kilkunastu metrów wspinają się szybko, z nadzwyczajną zręcznością. Jesteśmy przerażeni, bo robią to bez żadnej asekuracji. Okazują wdzięczność za każdego otrzymanego dolara – robią to z godnością. Praca jest najważniejsza, bo ponad jedna trzecia zdolnych do pracy jest bezrobotna. Dzieci są zadbane, wiele z nich pomaga rodzicom.

Sklepik z pamiątkami, który cała rodzina codziennie rano rozkłada na drągach na plaży, znika co wieczór. Leżąc na tarasie, obserwujemy, jak późnym popołudniem worki z miejscowymi artefaktami wędrują na plecach rodziców i ich dzieci z powrotem do domu położonego w oddalonej o kilka kilometrów pobliskiej wiosce. Są dwa powody tych wędrowek. Pierwszy jest taki, że „sklep” nie jest chroniony, a całkiem otwarty – ma tylko słupki wbite w piasek plaży i półki z drągów, między którymi szaleje wiatr. Drugi powód, równie ważny, to wieczorny oceaniczny przypyływ, którym steruje księżyc. Poziom wody podnosi się o półtora metra.

Plaża, która za dnia ma szerokość ponad 100 metrów, około godziny osiemnastej znika w całości, a fale rozbijają się o pas betonu ochraniający domki, w tym nasz bungalow. Towar pozostawiony w sklepie odpłynąłby wieczorem w ocean, bezpowrotnie zabierając rodzinie jedyne źródło utrzymania. Codzienne odradzanie się sklepiku ma cechy heroizmu i jest świadectwem uporczywej walki o przetrwanie. W tej walce biorą solidarnie udział wszyscy członkowie rodziny. Od wczesnego dzieciństwa mali Kenijczycy poznają, co to jest walka o byt.

Za dnia widzimy często wspaniale zbudowanych Masajów, którzy z dzidami w ręku przechadzają się wzdłuż plaży. Są obwieszani naszyjnikami, noszą bransolety. Gdy rano ocean oddaje plażę, widzimy na niej mnóstwo jego stałych mieszkańców, którzy nie zabrali się z odpływem. Czerwone kraby, rozgwiazdy, jakieś stworki, które na nasz widok natychmiast zakopują się w piasku. Piękne muszle kuszą, by je zabrać. A jest to zabronione, w myśl waszyngtońskiej konwencji o ochronie zagrożonych gatunków. Kontrole w Mombasie i Warszawie są szczegółowe. Nie warto narażać się na poważne konsekwencje związane z przemytem.

Ochroniarz hotelowy o imieniu Masha, stale wędrujący wśród bungalowów, często opowiada nam o swojej rodzinie. Któregoś razu rozmowa przybiera szczerzy i serdeczny ton. Masha niespodziewanie zaprasza nas do siebie, do wioski położonej pięć kilometrów od hotelu. Jest przestraszony swoją odwagą, prosi o dyskrecję. Prywatny kontakt z gośćmi hotelu jest zabroniony i grozi utratą pracy. Jedziemy tam w niedzielę przysłanym po nas trójkołowcem, popularnie nazywanym tuk-tukiem. Jesteśmy podekscytowani, kompletnie nie wiedząc, co nas czeka i kto nas spotka. Kierowca uśmiecha się szeroko – Masha zapewnił mu zarobek, jest dobrym przyjacielem.

Po półgodzinnym telepaniu się po nierównej, gruntowej drodze przed naszymi oczami wyrasta niski, spory budynek, rodzaj wiaty, której spadzisty dach zwieńcza krzyż.

Dwóch godzin spędzonych na nabożeństwie baptystów nie da się zapomnieć. Swoim pojawieniem się wywołujemy sensację. Pastor pyta, czy nieoczekiwani biali goście życzą sobie odprawienia mszy po angielsku, czy w suahili. Bez różnicy, mówimy. Bardzo młody i przystojny wielebny odprawia nabożeństwo w suahili i z grzeczności trochę po angielsku. Siedzimy w przedostatniej

ławce, a małym dzieciakom z ciekawości głowy same odwracają się w naszą stronę. Do ich kościoła – wielkiej wiaty z postumentem dla pastora i chóru – nieczęsto przychodzą biali. Puszczamy do maluchów oko, budząc radość i zawstydzenie – przytulają się gwałtownie do swoich mam i opiekunek. Wszyscy pięknie śpiewają, ujmująco, głośno, ze szczerą radością, żywo i spontanicznie. Cieszą się ze spotkania z Bogiem. Nie ma śladu znanego nam zawodzenia.

Dobre nagłośnienie powoduje, że śpiew i muzyka niesie się po całej okolicy. Po nabożeństwie dajemy spory datek.

Poznajemy żonę Mashy, Lidyę. Jest podobna do Woopie Goldberg, która genialnie zagrała spirytystkę Odę May Brown w filmie *Uwierz w ducha*. Domyślamy się, że dziś założyła najlepszą suknię jaką posiada – z kolorowej tafty, z falbanami. Zadbana, starannie uczesana, jest chętna do rozmowy. Prowadzi w wiosce własny sklepik. Jest z niego dumna. Zaglądamy do środka. To budka z desek o powierzchni kilkunastu metrów kwadratowych. Na drewnianych półkach leżą niezbędne do życia podstawowe produkty. To, bez czego mieszkańcy nie mogą się obejść – kasza, żyłетки, chusty, napoje, ryż, cukier. Suche produkty są sypane szufelką do toreb – prosto z brudnych worków. Stara żelazna waga z szalkami robi wrażenie. Jesteśmy oczywiście... zachwyceni. Nie chcąc zawieść Lidy, nabywamy kilka produktów, żyłетки, jakieś mydła, kilka kilogramów sypkich produktów, coś tam jeszcze. Płacimy gotówką. Zostawiamy zakupy w sklepie z nadzieją, że Lidya spełni naszą prośbę o przekazanie ich najuboższym mieszkańcom wioski.

Zapraszamy ich do pobliskiego barku, pijemy piwo Tusker, którego nazwa kogoś nam przypomina. Opowiadają o swojej rodzinie, a tuk-tuk wciąż czeka. Po blisko czterech godzinach wracamy pełni wrażeń do hotelu. Przeżywamy piękny urlop.

Podczas wycieczki do Mombasy podziwiamy spółdzielnię rzemiosła artystycznego. Pod gołym niebem i płachtami namiotów ponad dwa tysiące ludzi, od rana aż do zmierzchu, rzeźbi w drewnie cudowne postaci zwierząt, całe scenki z sawanny, magiczne przedmioty. Te piękne wyroby odnoszą do pobliskiego sklepu z pamiątkami. Są to miniatutki zwierząt, także rzeźby naturalnej wielkości. Niektóre są prawdziwymi dziełami sztuki. Do dziś cieszą nasze oczy w Warszawie.

Po upływie tygodnia uznajemy, że najwyższy czas na dwudniowe safari w Parku Narodowym Tsawo East i Tsawo West. Oferta spoza hotelu jest tańsza o sto dolarów. W trakcie safari, stojąc oko w oko z ogromnymi słoniami, lwami, gepardami, nosorożcami, zdajemy sobie sprawę, że nawet nie spytaliśmy o ubezpieczenie. Będzie, co ma być. W otwartych, sześćoosobowych jeepach spędzamy w trasie dwa dni, filmując i fotografując zwierzęta na wolności. Te poznane na podstawie oglądanych rzeźb spotykamy w naturze podczas dwudniowego safari. Słonie nocą podchodzą do wodopoju pod lodge (hotel w parku narodowym). Za dnia widzimy wszystkich mieszkańców parku w ich naturalnym środowisku.

Staramy się nie zakłócać ich spokoju, zachowujemy ciszę. Kamera pracuje non stop.

Wracamy do hotelu po dwóch dniach. Na nasz widok wysoki, piękny gladiator – didżej – niezmiennie uśmiechnięty, puszcza w barze przy basenach piosenkę *Hakuna Matata*. Czyli – wszystko dobrze! Muzyka kenijska umila nam cały pobyt – jest pogodna i rytmiczna, urzeka swoją odmiennością. Zaczynamy uczyć się suahili, w końcu dziesiątki razy słyszymy te same słowa. Wyjeżdżając, kupujemy od didżeja kopie jego najpopularniejszych płyt. Kenia jest przyjaznym i pięknym krajem, do którego powrócimy z radością.

TYLKO Z BILETEM

Tego lata lotnisko Burgas jak co roku przyjmowało samoloty z turystami, którzy zapragnęli spędzić wakacje nad Morzem Czarnym. Przybywali przede wszystkim z krajów bloku wschodniego, ale od urlopów w Bułgarii i wygrzewania się na słynnych Ewa plaż, przeznaczonych dla nudystów, nie stronili też obywatele innych krajów. W pobliskim Słonecznym Brzegu język niemiecki słysząc było wszędzie. Kurort okupowali mieszkańcy Republiki Federalnej Niemiec. Lotnisko wciąż było czynne, ale trwały intensywne prace przygotowawcze do rozpoczęcia z końcem lata jego modernizacji i rozbudowy. Polski eksporter robót budowlanych – warszawska Centrala Handlu Zagranicznego – już zgromadził na lotnisku maszyny budowlane, a do hotelu robotniczego właśnie dojechała większość pracowników z ponad stuosobowej załogi.

Lato nie szczędziło słońca. Był początek sierpnia, kiedy w samo południe otworzyły się drzwi biura młodego polskiego pełnomocnika na lotnisku Burgas. Ku jego zaskoczeniu stanęła w nich siostra jego teściowej, mieszkanka Giżycka, uroczego miasteczka z Krainy Mazurskich Jezior. Takiego niezapowiedzianego gościa w nagrzanym słońcem kontenerze, stojącym przy płycie lotniska, z pewnością nie mógł się spodziewać.

Po standardowym:

– Dzień dobry Ciociu! – padło mimo woli zadane pytanie:

– Co Ciocia tu robi? – a w domyśle: skąd się u licha tutaj wzięła, jak mnie znalazła i czego może chcieć?

Na odpowiedź nie musiał długo czekać, bo ciocia Halina, pani dobiegająca sześćdziesiątki, dzielnie popijając gorącą kawę

w niemiłosiernym upale, rozpoczęła swój monolog. Przyjechała cztery dni temu na dwutygodniowe wczasy do Słonecznego Brzegu. I tego, co przeżyła, nie da się spokojnie opowiedzieć.

Okazało się, że za dziesięć dni ma wracać pociągiem do Warszawy i myśl o tym nie pozwalała jej odpoczywać, opalać się, kąpać, nawet spokojnie spać. Chyba z pół godziny trwało opowiadanie o tym, jak nieziemskie katusze przeżyła w pociągu podczas podróży z Warszawy do Burgas. Potwornie wysoka temperatura i duchota w rozgrzanym słońcem wagonie o mało jej nie zabiły. Okna szczelnie pozamykano i oczywiście nie było klimatyzacji. Rumuni – prawie, prawie ją doszczętnie ograbili – ale przejrzała ich zamiary i im się nie udało.

Kuszetka była wąska i twarda jak skała. Nieżyczliwi towarzysze podróży nie zlitowali się nad nią i musiała z trudem gramolić się na górne łóżko, wielokrotnie narażając życie.

Szczególnie wtedy, gdy wagon wyprawiał dziwne harce, zamiast majestatycznie podążać do celu. Jazda, z czego wcześniej nie zdawała sobie sprawy, trwała aż 36 godzin i do tej pory, po czterech dniach, nie może dojść do siebie. Jeden pan chrapał przez całą drogę tak strasznie, że podróżni z sąsiednich przedziałów, by go uciszyć, co chwila walili w ścianę. Brakowało wody i jedzenia, groziła jej więc, jak wędrowcowi zagubionemu na pustyni, śmierć w wyniku niechybnego odwodnienia, niedożywienia i skrajnego wycieńczenia.

Pan pełnomocnik słuchał jej monologu, nie wiedząc, czy śmiać się, czy płakać. Gdy pani Halina nieco ochłonęła i zrobiła w opowiadaniu przerwę, złożył jej wyrazy gorącego... no może nie w tym upale, ale z pewnością serdecznego współczucia, nieopatrznie zadając kurtuazyjne pytanie:

– Czy mogę Cioci w czymś pomóc?

Nie spodziewał się, że nie odwiedziła go przypadkiem, a jego pytanie otworzy jej drogę do realizacji z góry założonego celu.

Okazało się, że nie zamierza odbyć podróży powrotnej pociągiem, bo drugi raz takich cierpień z pewnością nie przetrwa. I oczekuje pomocy. Ma ona polegać na załatwieniu miejsca w samolocie do Warszawy. Drobny problem wynika z faktu, że nie ma pieniędzy na bilet lotniczy i nie wie, jak i z kim go załatwić.

W Słonecznym Brzegu doznała olśnienia – przypomniała sobie o nim, mężu córki rodzonej siostry, szefie rozbudowy lotniska Burgas. I pomna przygód na trasie kolejowej, zdeterminowana do granic, wsiadła do autobusu i przyjechała do Sarafowa. Tak bardzo nie chciała wracać pociągiem do Warszawy razem ze swoją, napawającą ją obrzydzeniem grupą wczasowiczów, że gotowa była zrobić wszystko, by do tego nie doszło.

Pan pełnomocnik zastanawiał się przez chwilę. Sprawa wydawała się nie do załatwienia. Znał oczywiście Bułgarkę Jordankę, przedstawicielkę LOT-u w Burgas, więc mógłby z nią porozmawiać. Sięgnął po słuchawkę telefonu i po chwili było wiadomo, że poleciała do Warszawy i będzie z powrotem za kilka dni. W rozmowie z lotniskiem udało się jednak wyjaśnić, że w samolocie odlatującym za jeden dzień z Burgas do Warszawy jest jedno wolne miejsce. Ale co z biletem? Gdy fakt braku środków na jego zakup zdawał się ostatecznie niweczyć plany cioci Haliny, pan pełnomocnik „głośno myśląc” wpadł na pewien pomysł. Później sam nie mógł się nadziwić, jak mógł wymyślić coś podobnego.

W szufladzie biurka miał własny, służbowy bilet lotniczy – zapasowy, imienny, ale bez rezerwacji i w jedną stronę. Bilet, jak to w dobie przedkomputerowej, był blankietem do wypełnienia. Dane

pasażera wypisano ręcznie – ołówkiem. Na jego kolejnej stronie widniało kopiowane na czerwono nazwisko pana pełnomocnika. Pani Halina, zapytana, czy ma odwagę polecić na nie swój bilet, zrobiła wielkie, pytające oczy. Zaproponował, że zetrze z biletu swoje nazwisko i wpisze jej. Ku swojemu zaskoczeniu usłyszał:

– Zgoda!

– Słowo się rzekło, kobyłka u płotu – rzekł pełnomocnik i wziął się za wycieranie swojego nazwiska. Łatwo nie było. Litery odciśnięte przez czerwoną kalkę, z uporem wycierane gumką, całkiem rozmazały się na bilecie, tworząc wielką czerwoną plamę. W końcu nazwisko pani Haliny zostało wpisane – bardzo nieudolnie. Wzięła do ręki ten spreparowany, właściwie sfałszowany bilet. Dostrzegła, że gumka rozmazała litery i właściwie niewiele było widać. Po chwili niespodziewanie oświadczyła:

– Może się uda. – I dodała: – samolot wylatuje dzień po odjeździe pociągu z moją grupą. Jeśli mam lecieć samolotem, na jedną noc muszę sobie znaleźć jakiś nocleg. Dam radę – stwierdziła z przekonaniem. W jednej chwili bardzo konkretnie pobiegła myślami naprzód.

Zapisała sobie informacje o locie, bilet schowała do torebki i wyraźnie odprężona pożegnała się. Pełnomocnik poszedł do hali lotniska, na stanowisku rezerwacji podał dane personalne pasażerki i numer biletu, prosząc o wpisanie pani Haliny na listę pasażerów. Postanowił nikomu o tym nie wspominać. Może ciocia odpuści, pomyślał.

Minęło sześć dni, gdy nagle otrzymał pilne polecenie, by w sprawach budowy lecieć służbowo do Warszawy. Przed swoim wyjazdem zdecydował, by ze sprawą biletu zaznajomić Kamilę, pracownicę swojego biura, prosząc ją, by w dniu wylotu zaopiekowała

się ciocią. I zachowała absolutną dyskrecję. Wyleciał do Warszawy, gdzie dopadło go mnóstwo pilnych spraw służbowych i rodzinnych. Lot cioci Haliny całkiem wypadł mu z pamięci.

Po tygodniowym pobycie w Polsce wrócił do Burgas. Jak grom z jasnego nieba spadły na niego wieści, które od razu przekazała mu Kamila na lotnisku. Pani Halina nawet nie wyobrażała sobie, co ją spotka, gdy zgłosi się na lotniskowej odprawie. Gdy podała „swój” bilet Jordance – przedstawicielce LOT-u – ta najpierw przez długą chwilę go oglądała, potem przyjrzała jej się uważnie, by wreszcie powiedzieć:

– Pani z tym biletem nie poleci.

Ciocia w płacz. Wciąż nie wiedziała, o co chodzi, gdy usłyszała:

– Nie poleci pani, bo to nie jest bilet na trasę Burgas–Warszawa! To jest bilet Warszawa–Burgas!

Pani Halina ryczała wniebogłosy, szlochała, zalewając się łzami. Całe lotnisko patrzyło na tę dramatyczną scenę. Wreszcie łkając, w pełnej desperacji zawołała w rozpacz:

– Mój pociąg wczoraj odjechał, co ja teraz zrobię?! Mam ten bilet od pana... – w tym momencie, na szczęście, zareagowała Kamila, powstrzymała jej krzyk i odsunęła nieco na bok.

Wszyscy pasażerowie zostali odprawieni wraz z bagażami. Załoga skończyła boarding. Pani Halina dalej zanosila się płaczem, powodując zamieszanie na lotnisku, wywołując konsternację pasażerów i personelu. Kamila zaczęła dyskretnie błagać lotowską urzędniczkę o zmiłowanie – po cichu wyznała, że to ciocia pana pełnomocnika, którego na nieszczęście właśnie nie ma. Silniki samolotu już pracowały, ale Kamila nie ustępowała. Pobiegła do naczelnika lotniska, pana pułkownika Dymitara Iwanowa, który,

pomny czekających go wkrótce z Polakami zadań rekonstrukcji lotniska, dla dobra sprawy dziarsko wdał się w negocjacje.

W końcu pod naporem próśb naczelnika i Kamili przedstawicielce LOT-u w ostatniej chwili zmiękło serce. Wstrzymała polecenie startu i wręczyła pani Halinie boarding pass, zabierając od niej nieszczęsny bilet. Nie dość, że po „przeróbce”, to w odwrotnym kierunku.

Dla ostatniej pasażerki, która na miękkich nogach podeszła do samolotu, obsługa lotniska musiała dostawić odtransportowane już schody. Ciocia Halina nie mogła uwierzyć swojemu szczęściu. Jej podróż dwusilnikowym Iłem-18 do Warszawy potrwała blisko dwie i pół godziny. Gdy wylądowała, pociąg z jej grupą turystyczną jeszcze nie dotarł do polskiej granicy.

Z PAMIĘTNIKA TURYSTY

Trzeciego dnia pobytu w Andaluzji wczesnie rano ruszamy w czwórkę z Nerja na rajd po południowej Hiszpanii. Auto wypożyczone na lotnisku w Maladze spisuje się bez zarzutu. Najpierw zwiedzamy Gibraltar, który zadziwia nas organizacją ruchu. Przed startem i lądowaniem droga na półwysep zamykana jest szlabanem, biegnie bowiem w poprzek pasa startowego lotniska. Widoki piękne. Wjeżdżamy bezczelnie do góry, ile się da. W końcu droga na górze Gibraltar kończy się, co dobitnie uzmysławia stalowa przegroda i panoszące się wokół stado małąp.

Na horyzoncie widać marokańskie miasto i twierdzę Ceuta – hiszpańską enklawę w Afryce. Czteryście metrów od brzegu pływa boja, oznaczająca miejsce katastrofy Liberatora z generałem Władysławem Sikorskim. Chodzimy w tunelach wykutych w litej skale, niemal ocierając się o XIX-wiecznych żołnierzy brytyjskich w kolorowych mundurach. Oglądamy małe działa, których lufy skierowane są w stronę cieśniny i Afryki. Z drugiej strony wysokiej góry, u jej podnóża, stoi w porcie wiele statków. Po trzech godzinach zjeżdżamy do miasta, przy okazji uwalniając się od natrętnych małąp. Ostrzegano nas – kradną telefony, torebki, butelki z pićciem, co się da.

Pędzimy wzdłuż wybrzeża Atlantyku do Cadiz. Miasto robi sympatyczne wrażenie. Z portowego nabrzeża ruszamy na zwiedzanie jego najpiękniejszych miejsc i budowli. Z górnego pokładu miejskiego tour-autobusu podziwiamy architekturę i z pomocą lektora, przez słuchawki poznajemy jego historię.

Mimo późnej pory decydujemy się na wieczorne zwiedzanie Sewilli. Dystans Cadiz–Sewilla przejeżdżamy na resztkach paliwa. Silnik gaśnie przy wjeździe na stację. Chodzimy po ścisłym zabytkowym centrum, chłonąc piękno placów, uliczek, starej katedry. Nastaje noc, a my, spoglądając na mapę, ze zdziwieniem zauważamy, że od Nerja dzieli nas duży, kilkusetkilometrowy dystans. Mamy za sobą piętnaście godzin podróży i zwiedzania, a ja ze dwa litry piwa i degustację trzech win, gdy słyszę słowa Krzyska:

– Siadaj za kierownicę, ja dalej nie pojedę, oczy mi się zamykają, trudno stary, przepraszam, robi mi się słabo, nie chcę mieć was na sumieniu.

Konsternacja. Krzysiek od początku deklarował, że poprowadzi samochód przez całą trasę i rzeczywiście, dobrze mu szło. W przeciwieństwie do mnie nie pił żadnego alkoholu.

Już mam mu wygarnąć, żeby się opamiętał, gdy rozbawione panie, mało rozumiejąc powagę sytuacji, patrzą na mnie błagalnym wzrokiem, wykrzykując:

– Marek jedź, jedź, już późno. Bo do rana nie dojedziemy. Jest noc, nie ma ruchu, jakoś dojedziesz, będziemy czuwać, byś nie zasnął.

Rzeczywiście, baby są jakieś inne, myślę. Patrząc w oczy Krzyskowi i zauważam, że ma cholerny kryzys. Nie tylko nie nadaje się na kierowcę, ale i jako pasażera strach go wieść. Żegnaj się, by Bóg miał mnie i całą resztę w swojej opiece i siadam za kierownicą. Otwieram całkowicie szybę w drzwiach kierowcy. Mimo zmęczenia upojnym dniem i nocną porą panie starają się (z przerwami niestety) zabawiać mnie rozmową. Słuchamy hiszpańskiej stacji radiowej, na której lecą przeboje, a reklam jest niewiele.

Skrajnie zmęczony, z niemal zamkniętymi oczami, o godzinie czwartej rano dojeżdżam do Nerja, dwa razy myśląc skręt z ronda przed miasteczkiem. Caramba!

Po jednodniowej przerwie, przy śniadaniu, Krzysiek oznajmia wszystkim, że Alhambrę zwiedzimy dzisiaj albo wcale. Śniło mu się, że bez trudu dostajemy bilety. Wpadamy więc na genialny pomysł, by ruszyć, skoro są bilety. Kusi nas warowny, mauretański zespół pałacowy z końca trzynastego wieku.

Jest już popołudnie, gdy po niecałych dwóch godzinach dojeżdżamy do Granady i parkujemy w niedozwolonym miejscu niedaleko Alhambry. Nieświadomi płacimy za poradę parkingową miejscowemu naciągaczowi, który bierze 20 euro „na bilety”, po czym wskazuje nam gdzie jest kasa i... znika bez śladu. Sen się sprawdza, bo właśnie w kasie zespołu pałaców są bilety dla indywidualnych turystów.

Alhambra, z arabskiego „czerwona wieża” – zniewala nas. Ten warowny zespół pałacowy zbudowano w latach 1232–1273. Arabskich emirów wyrzucono z Granady w końcu XV wieku. Wędrówka po dziedzińcach i salach pałacowych nie ma końca. Szukamy cienia kolumn, chłodzimy się w ogródkach z płynącą wodą. Po zwiedzeniu pałaców snujemy się po Granadzie bez ładu i składu. Już wszystko pozamykane. Zegar pokazuje osiemnastą trzydzieści, gdy Krzysiek wpada na kolejny genialny pomysł:

– Jedźmy z góry, do Pradollano nie jest daleko!

– Zaraz, zaraz – mówię. – Przecież dochodzi siódma, więc mamy za mało czasu!

Panie wpadają w euforię: jedźmy, będzie pięknie! Przegłosowano mnie. Mimo że jest późno, decydujemy się jechać w góry po krętej i stromej drodze A395. Czeka nas trudna jazda pod górę, stromą i krętą drogą. W oddali widać pasmo Sierra Nevada. Góry Śnieżne

leżą na wysokości ponad dwóch tysięcy metrów n.p.m. To pasmo powstało podczas orogenezy alpejskiej i jest najbardziej na południe wysuniętym obszarem narciarskim Europy. Hasło: „Rano narty – po południu golf i morze” robi wrażenie. Przed jazdą w góry Sierra Nevada za kierownicą siada Krzysiek.

– Ale będziemy mieli widoki – mówi, jak zawsze, z pełnym przekonaniem.

Tymczasem widzę, że wskaźnik paliwa pokazuje zero, a nawet mniej, więc po raz kolejny proszę, by przystanął i zatankował. Już do Granady dojeżdżaliśmy „na oparach”. Właśnie jesteśmy przy stacji benzynowej. Krzysiek po raz kolejny odmawia:

– Dajcie spokój, jest późna pora i spora kolejka, po drodze coś znajdziemy!

I mimo mojego wyraźnego sprzeciwu nie zatrzymuje się przy dystrybutorach. Zaczynamy podjazd. Modlę się w duchu o stację benzynową, ale przejechaliśmy już dwadzieścia kilometrów i... nic. Nie wiem, na czym jedziemy.

Krzysiek mówi, że wciąż „na resztkach oparów”. Ciekawe, myślę. Co powie, kiedy zaraz staniemy i *el viaje terminará* – nastąpi koniec podróży. A pobocze jakieś znajdziemy? Bo droga wąska. Noc w górach, bez koców, paliwa, szkoda gadać. Auto jednak wciąż mozolnie wspina się pod górę. Perpetum mobile czy co? Gdy moje nerwy są napięte do ostatnich granic, za zakrętem pojawia się mała stacyjka. Czynna! Cud boski, że ktoś ją tam zbudował. Tankujemy do pełna.

Jestem wkurzony i chcę napić się kawy – a tu wszyscy krzyczą:

– Nie mamy czasu, napijemy się na górze, jedźmy, jedźmy!

– Tym razem nie odpuszczę – oznajmiam wściekły. Idę do barku, gdzie wypijam duży kubek gorącej kawy. Gdy wracam – cisza w aucie – obrażeni, czy co? Słyszę pretensje:

- Przez ciebie w nocy tam dojedziemy, niczego nie zobaczymy!
- Odczepcie się, terroryści! – mówię stanowczo.
- Co to za opóźnienie? – pytam drwiąco. – Przez jedną kawę?
- Mógłbyś napić się za chwilę z nami w górach, jesteś samolubem i skończonym egoistą! – słyszę w odpowiedzi.

Samochód wciąż wspina się i wreszcie widać górskie miasteczko Pradollano. Piękne hotele i domy na tle gór i gasnącego błękitnego nieba. Wkrótce zapadnie zmierzch. Gdzieś wysoko zalegają połacie i strzępy śniegu. Droga wiedzie do centrum, jest spory placyk, na którym stajemy.

Jesteśmy w szoku. Nie ma nikogo, żywej duszy! Wokół panuje absolutna cisza, jeśli nie liczyć szumu wodospadu powyżej placu. Chodzimy od knajpki do knajpki. Wszystko, dosłownie wszystko zamknięte: hotele, wypożyczalnie, wyciągi, sklepy. W całym mieście nie spotykamy nawet jednego człowieka. Restauracje i bary są nieczynne, a ulice puste. Chodzę, zwiedzam, podziwiam i drwię sobie z nich oraz ich wspólnej kawki. Kurort zimowy jest totalnie martwy. Jakby wszystkich UFO porwało.

Po pół godzinie zjawiają się dwaj policjanci – jedyne żywe istoty w mieście. Zaczyna zapadać zmierzch. Pospiesznie robimy zdjęcia i ruszamy z powrotem w dół. Przyglądam się Krzyškowi, wygląda nieszczerze. Zauważam ze zdziwieniem, że zjeżdżamy z dużą prędkością – tylko na hamulcach, bez włączonego biegu. Zwracam mu natychmiast uwagę, by włączył bieg. Wciąż zjeżdżamy z dużą prędkością, po krętej stromej drodze – na samych hamulcach. Nie włącza biegu. Nawet nie reaguje. Powtarzam mu, wręcz nakazuję:

- Masz włączyć bieg, zaraz wylecimy z drogi, jest masa zakrętów!

Jaka masa, poprawiam się, są same zakręty i zaraz będzie za późno!

Elżbieta trąca mnie niepostrzeżenie, bym przestał, bo będzie awantura. Nie rozumie sierota, że zaraz zginiemy! Rzeczywiście, baby są jakieś inne – powraca sentencja sprzed dwóch dni. Jestem w szoku, gdy Krzysiek oznajmia:

– Każdy kierowca ma swój styl jazdy, a mój jest właśnie taki!

To doprowadza mnie do wściekłości. Już chcę oświadczyć, że wysiadam i wrócę okazją, gdy Basia zwraca uwagę na piękny widok.

– W dole widać trzy granatowe jeziora, są piękne, zróbmy zdjęć! – woła entuzjastycznie, pewnie również dla rozładowania atmosfery.

Krzysiek zatrzymuje auto. Wysiadamy. Czujemy straszny swąd spalenizny. Z kół naszego auta wydobywa się dym, który zaczyna przysłaniać widok na piękne, granatowe, górskie stawy. O krystalicznym powietrzu nie ma mowy. Żar bucha z przegrzanych tarcz.

– I co – mówię do Krzysztofa – to twój styl?

Dalszy zjazd kontynuujemy z użyciem skrzyni biegów. Jest północ, gdy docieramy do rondka przed Nerja. Tym razem nie myląc drogi, dojeżdżamy pod budynek, w którym mamy wynajęte apartamenty.

Krzysia nie ma już z nami. Nie mam do niego żalu o samochodowe perturbacje. Żonę i dzieci kochał do szaleństwa. Zawsze za wysoko stawiał sobie poprzeczkę. Jego rodzina musiała mieć wszystko. Odejście Krzysia uświadomiło mi, że wyznaczając życiowe cele, trzeba liczyć się z realnymi warunkami świata zewnętrznego, a przede wszystkim barierami własnych możliwości. Mierzenie sił na zamiary i wyznaczanie sobie najwyższych celów w Jego przypadku skończyło się tragicznie. Nigdy nie ulegajmy roszczeniowej postawie bliskich nam osób. Kto naprawdę kocha, nie oczekuje niczego poza wzajemnością.

EMOCJE NIE TYLKO ARTYSTYCZNE

W 1985 roku, podczas rozmowy ze swoim serdecznym przyjacielem, ryskim architektem Janisem Pipursem stwierdził, że pragnie mieć jakąś szczególną pamiątkę z pobytu w Rydze. Janis po krótkim namyśle zaproponował, by odwiedzili małżeństwo Bumanis, wykładowców Łotewskiej Akademii Sztuk Pięknych, z którymi on i jego żona Lielda serdecznie się przyjaźnią. Państwo Bumanis zaprosili ich do swojej pracowni na ryskim Starym Mieście. Podczas miłego spotkania dowiedział się, że Aija, pani domu, często wystawia swoje prace za granicą. Ostatnio miała wernisaż w Japonii.

Umówili się, że treść obrazu będzie niespodzianką i namaluje go Arvids Bumanis. Zaskoczeniem była również cena, którą ustalono na pięćset rubli, nie zostawiając pola do negocjacji. Były to dwie dobre ryskie pensje, czyli dość dużo. Od tego spotkania upłynął rok, gdy zadzwonił Janis z informacją, że Arvids zaprasza po odbiór obrazu. Podczas kolacji poszli do pracowni i wtedy Arvids odsłonił obraz stojący na sztaludze. O piękniejszej pamiątce z Rygi trudno nawet marzyć. Obraz olejny namalowany na płótnie, pozostawiony w oryginalnym czarnym blejtramie, o wymiarach 80 x 73 cm i zatytułowany *Riga Jaunsaunies* wywarł na wszystkich ogromne wrażenie.

Jego treść stanowią motywy społeczno-historyczne na tle starej architektury miasta. Historię Rygi tworzyli bowiem nie tylko rdzenni Łotysze. Ziemia Kurlandii była we władaniu kilku państw, co wywarło wpływ na jej kulturę, architekturę i język. Obraz pokazuje akcenty szwedzkie, rosyjskie, niemieckie i polskie.

Statki cumujące przy starej przeprawie mają bandery wielu krajów. W dolnej części obrazu autor przedstawił scenki rodzajowe: przejeżdżający na koniu kupiec, przekupki i kobiety, z których jedna trzyma w ręku rybę. Obok stoi mężczyzna – sądząc po stroju jest duchownym. W dolnej części obrazu dwaj chłopcy grają na skrzypcach i flecie. Na prawym skraju stoi czule żegnająca się para. Pies siedzący na brzegu pośrodku płótna jest świadkiem toczących się wydarzeń. Żołnierz strzeże przeprawy przez rzekę Daugawa (Dźwinę), prowadzącej do centrum Vecrigi, czyli Starego Miasta.

Na drugim brzegu widać mury Ryskiego Zamku, kościoła Świętego Ekaba (Jakuba), małego kościółka katolickiego, Katedry Domskiej z 1200 roku. Nad miastem góruje wysoka wieża kościoła Św. Piotra. Obraz wiernie pokazuje zabudowę Rygi z przełomu XV i XVI wieku. Przez 40 lat władzę w Rydze i Inflantach sprawowali Polacy – od 1580 do 1620 roku. W dolnym rogu obrazu widnieją inicjały jego autora: *AB.86 Arvids Bumanis*.

Po latach z przykrością dowiedział się, że nie spotka się już z Arvidsem. Zmarł 10 lat po ich ostatnim spotkaniu. W antykwariatach można spotkać jego książkę o sztuce malarstwa napisaną w 1986 roku pt. *Ka naksno celavirs* wydaną przez ryskie wydawnictwo Liesma. Obraz starej Rygi wisiał przez kilka lat w mieszkaniu w Rydze.

W 1991 roku postanowił przywieźć obraz do Polski. Z wszelkimi dziełami sztuki i zabytkowymi przedmiotami, jak wiadomo, nie jest łatwo oficjalnie przekraczać granicę. A jak robi się to nieoficjalnie, trzeba liczyć się z ewentualnością ich konfiskaty przez służby celne. Z mienia przesiedleńczego, gdy jego kontener wyjeżdżał z Rygi pięć lat wcześniej, celnik wygrzebał stary rosyjski samowar

z Tuły – prezent od kolegów z współpracujących firm. Nigdy go już nie zobaczył. Taka przykrość pozostaje na zawsze w pamięci.

Przed wyjazdem kupił jeszcze dwa nieduże współczesne obrazy, jeden z bajkowym widokiem wybrzeża Krymu, drugi – pejzażem brzegu morskiego. Razem ze Starą Rygą były więc trzy. Był piątek, a wyjazd samochodem zaplanował na sobotę rano. Pojechał z obrazami do Ministerstwa Kultury Łotwy, by wypełnić druk i uzyskać zgodę na wywiezienie sztuki współczesnej.

Drzwi ministerstwa zastał zamknięte. Niewielka karteczka wypełniona odręcznym pismem informowała: W piątki nieczynne. W czasie przemian ustrojowych nie takie rzeczy się tam działy. Po latach tak bardzo chciał wreszcie zabrać obrazy do Polski, że wbrew zdrowemu rozsądkowi postanowił, że zabierze je w sobotę. Trudno, będzie, co ma być.

Rano zapakował je najlepiej jak umiał i schował w bagażniku samochodu, najgłębiej jak się dało. Jazda do granicy łotewsko-litewskiej nie trwała długo, zaledwie dwie godziny. W tamtym czasie na granicach Łotwy działy się prawdziwe cuda. Nowo powstałe państwo nie miało środków i doświadczenia, by zapewnić cywilizowaną obsługę graniczną. Zresztą co to znaczy: cywilizowaną?! Nawet nie zdążono uchwalić nowych przepisów celnych, a radzieckie już nie obowiązywały. Łotewscy urzędnicy celni i wojskowi stosowali własne prawa, co w praktyce oznaczało, że za łapówki można było wywieźć wszystko. Oczywiście jeśli zgodził się na to naczelnik.

W minorowym nastroju dojechał do granicy. Wygląd żołnierzy można było określić jako turystyczny. Cała ta zbieranina miała pozawijane rękawy, spodnie nie od munduru, gęby nieogolone, broń najróżniejszą. Jak tu ocenić, czy to nie mafia zainscenizowała fikcyjną granicę? Może to łotewski *Vabank*? – pomyślał. Polscy

partyzanci ukryci w lasach pod koniec drugiej wojny światowej z pewnością prezentowali się lepiej.

Po chwili wahania zajechał pod bar, który był po lewej stronie drogi, zaledwie kilkadziesiąt metrów przed szlabanem granicznym. Zamówił herbatę i siedział z ponurą miną. Po dłuższej chwili zagadnął do niego jakiś młody mężczyzna, który uprzejmie zapytał:

– Co pan taki smutny, zabito panu kogoś?

Ładny początek, pomyślał sobie, nawet w barku mnie przepytują. Ale po paru zdaniach zorientował się, że rozmówcy dobrze z oczu patrzy, więc w przystępie jakiejś rezygnacji opowiedział mu o obrazach, które wiózł.

– Wie pan – rzekł jego interlokutor – jest na to sposób. Jak pan się cofnie ze dwieście metrów i pojedzie w prawo polną, a potem leśną drogą, a będzie to ze trzy kilometry, napotka pan na niej w lesie szlaban. Tam też jest granica, mało kto o niej wie. Teraz jest tam Janis. Powie mu pan, że jedzie od Aiwarsa, da mu pięćdziesiąt rubli, to pana puści. A zaraz dalej wyjedzie pan już na asfalt za łotewską granicą, w niczyjej strefie, ale przed litewskim posterunkiem granicznym.

Podziękował mu i postanowił zaufać. Trudno. Na wstecznym biegu, na oczach pograniczników i kierowców oczekujących w kolejce do głównego przejścia granicznego, przejechał nie dwieście, a ze czterysta metrów i skręcił w prawo, w pole. Tego, po czym jechał, drogą nie można było nazwać. Najpierw samochód zapadał się w bardzo głębokie dziury wypełnione wodą, później pseudo-droga skręciła w gęsty las. Zaczął żałować swojej decyzji. Pomyślał, że pewnie zaraz ktoś go zatrzyma, walnie w głowę, zabierze auto, paszport, pieniądze i obrazy, a następnie albo zakopie, albo na golasa wypuści na jakichś wertepach.

Dukt przekształcił się w dróżkę, która stawała się coraz węższa, gałęzie mocno tłukły o szyby i karoserię. Był pewien, że zabłądził, gdy nagle wyrosła przed nim poprzeczna drewniana belka. Podszedł do niego bardzo młody, na zielono ubrany „przebieraniec”.

– *Zdrowstwu Janis* – powiedział prędko – *ja ot Aiwarsa*. I usłyszał: okey.

Dał mu pięćdziesiąt rubli i przejechał pod uniesionym drągiem, zadając sobie pytanie: Co ja tu robię i gdzie w ogóle jestem? Przez co właśnie przejechałem i gdzie wyjadę?

To, gdzie wyjedzie, zaraz się wyjaśniło. Zaledwie trzysta metrów od tej zielonej granicy dróżka nagle wyprowadziła go na tę samą, asfaltową, główną drogę prowadzącą w kierunku Litwy.

I wszystko byłoby dobrze, gdyby nie drobny szczegół. Otóż wyjechał na asfalt wprawdzie za posterunkiem łotewskim, ale zaledwie kilkadziesiąt metrów od niego. Nie zatrzymał się, lecz spojrzął w lusterko. Zobaczył posterunek i za nim barek, w którym dopiero co pił herbatę. Dostrzegł, że łotewscy żołnierze zobaczyli go. Jechał dalej, myśląc zdesperowany: cholera, mogą zaraz do mnie strzelać...

I dopadła go refleksja: jasny gwint, cztery kilometry telepać się przez pola i las, żeby wyjechać kilkadziesiąt metrów od barku?!

Ale jechał, jechał dalej i... nic się nie wydarzyło. Aiwars go nie nabrał. Dali sobie z nim spokój. Po chwili stanął przed litewską strażą graniczną i celną. Ci się niczym, poza paszportem i rejestracją samochodu, nie zainteresowali. Znow minęło parę godzin i pojawiła się granica litewsko-polska. Kontrola litewska odbyła się po łebkach i jechał do Polski.

Odetchnął. Jego ryzykne pamiątki zawisły na ścianie w Warszawie. Do dzisiaj go cieszą i są powodem zazdrości przyjaciół. Trochę się stresuje, gdy wspomina emocje z łotewskiej, ni to oficjalnej, ni to zielonej granicy. Takich granic w Europie chyba już nie ma.

MAGICZNA LEŚNICZÓWKA

Gdy przyjaciele mówią ci: znamy takie piękne miejsce, wśród dzikiej przyrody, gdzie panuje fantastyczna atmosfera, są niezwykli ludzie, dają wyłącznie własne super żarcie, słowem bajka! – to nie zastanawiaj się, tylko tam jedź!

Opowiadanie o magicznej leśniczówce jest najszczerzą prawdą. Od czasu pierwszego pobytu Jacek wraca tam często od wielu, wielu lat. Kocha to miejsce. Do dziś jest tam wszystko, czego oczekujemy od przyrody.

Piękny szlak wodny z Pisu przez jezioro Roś do Śniardw, dzikie lasy i na trasie do Orzysza dość duże jezioro Kocioł.

Ale – od początku. Leśniczówkę w Lisich Jamach piskie nadleśnictwo powierzyło panu Kazimierzowi. Domostwo pana leśniczego znajdowało się nad jeziorem Kocioł, które od zawsze nazywano Kociołkiem. Jezioro to, o owalnym kształcie i powierzchni blisko trzystu hektarów, położone jest dwanaście kilometrów na północ od Pisu. Od strony północnej znajduje się wieś Kociołek Szlachecki. Od południa wpływa do jeziora rzeczka Wilkus – część szlaku kajakowego Roś–Śniardwy. Od północy jeziora płynie ku Śniardwom rzeczka Białoławka.

Brzegi jeziora są płaskie, tylko po stronie zachodniej nieco wyższe i bardziej strome. Głębokość wynosi około trzydziestu metrów. Piaszczyste i miejscami muliste dno skrywa wiele tajemnic: pociski, niewybuchy i jak głosi legenda – samolot myśliwski. Jest to możliwe, bo sąsiedztwo jeziora stanowi poligon wojskowy w Orzyszu i miejsce, w którym w okresie drugiej wojny światowej znajdowało się niemieckie lotnisko wojskowe Luftwaffe.

Prywatne domostwo leśniczego nad Kociołkiem i leśniczówkę rozdziela droga Pisz–Giżycko. I dystans ponad dwóch kilometrów.

W latach sześćdziesiątych dwunastoletni Jacek przyjechał z rodzicami do Lisich Jam. Leśniczówka przypominała mały dworek z kolumnami i gankiem. Obie strony podwórza zajmowały stajnia, obora i stodoła – murowane z kamienia i cegły. Takiego miejsca się nie zapomina. Zabudowania otaczały piękne, dzikie lasy Puszczy Piskiej, a wokół rozciągał się malowniczo pofałdowany teren.

Matecznik, pomyślał Jacek, wspominając fragment Pana Tadeusza. Pełne uroku leśne dróżki prowadziły w różnych kierunkach. Leśniczy, pan Kazimierz, pochodził z Ełku. Jego rodzina – żona, córka i dwóch synów przebywali najczęściej w domostwie nad jeziorem, zaś on sam – w leśniczówce. Gdy siedzieli z Jackiem na ganku, leśniczy opowiadał:

– Chciałem, by któryś syn przejął po mnie gospodarstwo i leśnictwo, ale żaden nie chciał... Taaaakie sprawy... Do miasta ich ciągnęło. Córka najdłużej została, ale i ona uciekła. Lasu pilnuję, bo złodziejasków wielu się kręci – chętnych, aby wywieźć gotową, pociętą przyzmę drewna. A ja robotnikom leśnym płacę i rozliczać się muszę.

– Taaakie sprawy... Jak chcecie, złowimy sielawę i usmażymy na obiad. A wiesz, chłopcze, sielawa to dobra ryba. Głęboko chodzi. A nasz Kociołek głębszy jest niż mówią. Jest miejsce, gdzie rzuciliśmy sieć na głębię, to na 50 metrów zesła – dłuższej nie mieliśmy. Smaczna ta sielawa, stadami pływa. Czasem niewiele złowimy, a nieraz sporo. Teraz jakby mniej jej było, choć woda czysta.

Tam, po drugiej stronie, w Kociołku Szlacheckim pegeer jest i limity na rybę mają. I co, myślisz, że ich przestrzegają? A gdzie tam, łowią ile wlezie i to w czasie tarła. Łobuzerka i tyle...

– Taaakie sprawy... A do Lisich Jam przyjeżdżał na polowania sam Łowczy III Rzeszy, marszałek Rzeszy i dowódca hitlerowskiego lotnictwa Hermann Göring. Gdzieś tu, na trasie kolejowej Pisz–Orzysz, przystawał jego słynny pociąg sztabowy „Azja” relacji Szeroki Bór–Gołdap–Rominty... Taaakie sprawy...

Pan Kazimierz nie był szczególnie rozmowny, nigdy nie zdradzał swoich leśnych tajemnic. Zawsze chodził w zielonym mundurze, czapce z daszkiem, gumiakach, ze strzelbą przewieszoną przez ramię. Jedno oko miał za mgłą – nie widział na nie z pewnością. Czasem, o zmierzchu, słyszeliśmy w lesie wystrzały i następowała głucha cisza. A następnego dnia podawano dziczyznę na kolację. Więc mimochodem pytali:

– To pan strzelał wczoraj? Dwa wystrzały były!

A on kręcił głową:

– Taaakie sprawy... Nie ja, może ktoś kłusował. Ja nic nie słyszałem. Wczoraj nad jeziorem byłem.

Szczerbińscy, przyjaciele rodziców, przyjechali z synem. Jak wszyscy goście leśniczówki z pasją grali w karty i zdrowo popijali. Kawały sypały się jak z rękawa. Ania Szczerbińska z rana przed śniadaniem odprawiała swój rytuał: kawka z papierosem. Trzeba umieć tak trzymać papierosa, elegancko i z nieskrywaną miłością. Była sympatyczną brunetką.

Początek lipca, piękna słoneczna pogoda. Zapach lasu wszechotaczającego leśniczówkę zapadał gdzieś głęboko. Wieczorem usypiał jak narkotyk, po którym nad ranem wciąż kręciło się w głowie.

Szczerbińscy czekali na przyjazd córki Julii, która skończyła osiemnaście lat i właśnie zdawała na AWF. Często dzwonili do Warszawy, pytając o przebieg egzaminów. Telefon na korbkę stał

na dole w leśniczówce i łączył nas ze światem przez nadleśnictwo w Pisz, potem przez pocztę. Dodzwonienie się gdziekolwiek graniczyło z cudem.

Kiedy po udanych egzaminach Julia przyjechała do Lisich Jam, Jacek wpadł w zachwyty. Brunetka, kręcone czarne włosy, zgrabna, z efektownym biustem, dołeczkami w policzkach i fantastycznie ciepłym, ujmującym uśmiechem. Była wesoła, pogodna i zawsze uśmiechnięta. Sprawiała, że chodził jak oszołomiony. W jednej chwili przestało istnieć wokół niego wszystko, nawet przyroda.

Pragnął być jak najbliżej niej, słuchać jak mówi, jak się śmieje i patrzeć, jak się porusza. Ideał. Ogarnęło go szalone uczucie pierwszej miłości – i pewność, że dla niej zrobiłby wszystko. Jeszcze nie był licealistą, a ona już studentką, ale czy to miało jakieś znaczenie? Po kilku dniach skrywanych emocji postanowił dać Julii jakiś sygnał – pokazać, jak wiele dla niego znaczy. Zapropozował przejażdżkę po lesie – dwukółka była akurat zaprzężona, a koń z wolna skubał resztki trawy rosnącej na podwórzu.

Zgodziła się! Omal nie zemdlął ze szczęścia, gdy ujął lejce, a Julia usiadła obok niego. Ruszyli drogą leśną na północ w stronę Zdor. Dotknął jej dłoni, mówiąc, by się nie bała, bo pojedą szybciej. Użył kilka razy bata i dwukółka pognęła po dukcie. W głowie mu szumiało, tak pragnął jej powiedzieć lub choćby dać do zrozumienia, że jest najpiękniejsza na świecie.

Jednak zamiast użyć słów, umiał tylko gnać dwukółką, coraz szybciej i szybciej. Julia chwyciła go za rękę i poprosiła, by zwolnił, ale koń pędził już tak szybko, że nie umiał go powstrzymać. Na nierównościach podskakiwali wysoko na koźle, pomagając sobie, by nie wypaść. Bez rezultatu wciąż ścigał lejce – koń wpadł

w dziki i niekontrolowany galop. Jacek miał już tylko jedno w głowie – zatrzymać dwukólkę, aby Julii nic się nie stało.

Na zakręcie prawe koło trafiło na sterczący, wysoko obcięty pień. Wylecieli z siedzenia w górę, tracąc równowagę. Jakoś udało im się nie wypaść na drogę. Szarpnięcie było tak silne, że koń zwolnił. Zawrócili. Później milczeli, a Jacek ukradkiem zerkał na Julię, czy nie ma do niego żalu z powodu tej wariackiej gonitwy. Gdy stanęli przed leśniczówką, spojrzała mu w oczy i z lekkim uśmiechem powiedziała:

– Jacek, było fajnie. Dziękuję.

Pomyślał, że domyśliła się, co było przyczyną jego szalonej jazdy. Cóż miała powiedzieć – dla niej był jeszcze dzieckiem. A ona świeżo upieczoną studentką i dziewczyną, która właśnie stawała się kobietą. Podczas opalania czy na łódce zdarzało się, że kładła rękę na jego ramieniu – umierał ze szczęścia! Robili częste wypadki w puszczy – czyli wychodzili za ogrodzenie leśniczówki.

Dziki wyrwały ogromne leża w pobliskim mokradle, a na pole przy domu codziennie o zmierzchu podchodziły jelenie i łosie. W leśnych jarach i zagłębieniach, w mokradłach, oglądali ślady racic lochy, odyńca i warchlaków, odcisnięte w zrytych błotniskach i trawie. Wokół leżały połamane krzewy i gałęzie. Gęste krzaki, ogromne liście paproci, zwarty las mieszany stanowiły doskonałe miejsca na barłogi albo legowiska błotne. Wieczorem słyszeli ryki i złowróżbne, przeciągłe wycia.

Starał się nie odstępować Julii na krok. Czas upływał na leśnych wędrownkach, jeździe na rowerach, pływaniu w jeziorze, łowieniu ryb na wędkę, zbieraniu grzybów i jagód. Rodzice grali w brydża. Nie mógł napatrzeć się na Julię, a ona z pewnością dostrzegła jego platoniczne uwielbienie.

Tymczasem ojciec Jacka nie miał takich problemów. Julia spodobała mu się nie mniej niż synowi. Lekko szpakowaty, wysportowany, były komandos, lat trzydzieści osiem, bardzo szarmancki, zrobił na Julii wrażenie. Oboje niepostrzeżenie znikali w lesie na dłuższe chwile, co w końcu wzbudziło niepokój jej rodziców i Jacka.

Dotarły do niego strzępki słów, gdy ojciec Julii – przyjaciel i rówieśnik jego taty – w ostrych słowach wyrażał mu swe oburzenie. Spostrzegł, że jego mama, która miała wówczas zaledwie trzydzieści dwa lata, a wdziękiem i urodą wcale nie ustępowała Julii, zaskoczona niezwykłą dla niej sytuacją, też prawiała ojcu wymówki. W ogniu i zgiełku wieczornych kolacji, suto zakrapianych alkoholem, gdzieś się sprawa rozmyła, albo... leśni spacerowicze stali się ostrożniejsi.

Magia leśniczówki Lisie Jamy tkwiła w niepowtarzalnej atmosferze tego miejsca i całej okolicy Śniardw. Wielokrotnie maszerowali przez Zdory i dalej wąską groblą na półwysep Szeroki Ostrów. To miejsce kultu Galindów i strategicznego punktu – fortu Lyck, niemal twierdzy. Tam z klifu widać całe jezioro i wysepkę Czarczi Ostrów. W oddali znajdują się Mikołajki i Popielno.

Do gości Lisich Jam na weekendy, a czasem na dłużej dojeżdżali członkowie rodzin i znajomi. Lista stałych bywalców wydłużała się z roku na rok. Z braku wolnych przestrzeni miejsca do spania przygotowywano w całej leśniczówce i jej zakamarkach. Na klatce schodowej i pod nią, na rozgrzanym poddaszu, nawet w biurze.

Na czas pobytu w leśniczówce wszyscy stanowili jedną wielką rodzinę.

A co z uczuciami ojca i syna do pięknej studentki? – zapytacie. Prawdziwa bomba wybuchła późną jesienią, gdy wyszło na jaw, że ojciec Jacka regularnie spotyka się z Julią. Mieszkała z rodzicami

niedaleko domu Jacka, nie więcej niż piętnaście minut piechotą. W końcu doszło do wielkiej awantury i sprawa po paru miesiącach ucichła. Jackowi żal było Julii i mamy. A do ojca poczuł niechęć, pomieszaną z nutą zazdrości.

Skomentujmy te wydarzenia słowami pożyczonymi od leśniczego – pana Kazimierza:

– Taaakie sprawy... proszę Państwa!

PROKURATOR

Warszawski prokurator miał kilka słabości. Bądźmy obiektywni – kto ich nie ma? Przystojny, pełen humoru i energii, miał wielu przyjaciół. Lubił spotkania z kolegami, z którymi przy brydżu spędzał całe noce, nierzadko przy alkoholu i czasem w towarzystwie miłych pań. Na wdzięki pięknych kobiet nigdy nie pozostawał obojętny. Przez blisko dziesięć lat pełnił funkcję pierwszego prokuratora, nadzorującego przestępstwa kryminalne. Podczas służby niemal nie zdarzał się dzień bez ciężkich przestępstw, zmasakrowanych ciał i innych nieszczęść. Stolica, jak magnes, przyciąga wszystkich, nie tylko tych dobrych. Nie ma co się dziwić, że w dni wolne, bo takie miewał od czasu do czasu, szukał odprężenia i rozrywki w gronie osób, które lubił.

Na przeszkodzie temu stała, jak zawsze, jego własna żona. Nie mogła znieść wieczornych eskapad męża. Niepracująca domatorka, spędzała czas na zakupach, gotowaniu, przed telewizorem i z książką w ręku. Bary, restauracje i kawiarnie były miejscami, które odwiedzała niechętnie. Zdarzało się, że komplikując mężowi jego plany, proponowała, by poszli do teatru, kina lub na koncert.

Prokurator znał jej zwyczaje i wrogi stosunek do towarzystwa, z którym zwykł się spotykać. Wiedział, że życie bez kontaktu z przyjaciółmi i rozrywki nie ma sensu. Żona przez swój bardzo krytyczny stosunek do ludzi i świata stwarzała w domu ciężką atmosferę.

Co mam zrobić? – zadawał sobie pytanie prokurator, by nie ominęły mnie karty z przyjaciółmi, fajne spotkania przy piwku i wódeczce? Składanie żonie propozycji wspólnego wyjścia na miasto nie rokowało dobrej rozrywki. Najczęściej zostawał w domu,

a znajomi mieli do niego żal z powodu zmarnowanego wieczoru. Zresztą, po co miał jej cokolwiek proponować, gdy potrafiła jednym słowem zabić nawet najwspanialszą atmosferę. Zawsze oficjalna i zasadnicza, za brak takowych cech nieustannie go strofowała. Jego nagłych wyjść z domu nienawidziła – tolerowała je z trudem.

Prokurator wziął się więc na sposób. Opracował bezbłędną metodę, by móc wieczorem bezkarnie wyjść, a przy tym nie dać żonie szansy na jakikolwiek sprzeciw, unikając zarazem podejrzeń. Planując popołudniową bibkę, już dzień wcześniej sprawdzał, który spośród policjantów pełni dyżur w następny wieczór. Znał ich wszystkich.

Z zaprzyjaźnionymi policjantami, dyżurującymi następnego dnia w radiowozie w rejonie miejsca zamieszkania prokuratora, umawiał się w sposób, który właściwie był poleceniem służbowym.

Mówił:

– Zadzwońisz do mnie, do domu, o godzinie osiemnastej – tu masz numer domowego telefonu. Ja nie będę odbierać – słuchawkę podniesie żona. Pamiętaj, że dzwoniisz służbowo w bardzo ważnej sprawie – tak jej powiedz, a jeśli będzie się ociągać z oddaniem mi słuchawki, możesz dodać, że wprawdzie procedura nie pozwala informować o przestępstwie, ale masz rozkaz zabrać mnie natychmiast, gdyż popełniono zabójstwo na Pradze i z rozkazu komendanta nikt poza mną, znaczy panem prokuratorem, nie może przeprowadzić oględzin i rozpocząć śledztwa. Zrozumiałeś? Aha, masz o osiemnastej stać już pod moim domem i czekać na mnie.

– Tak jest, panie prokuratorze – odpowiadali zwykle policjanci, potwierdzając, że zadzwonią z wiadomością o przestępstwie, a radiowóz czekać będzie na dole.

Następnego dnia bohater tej historii, będąc już w domu po godzinie siedemnastej, przebierał się w sportowy dres i siadał wygodnie z gazetką w fotelu, rzucając do żony mimochodem:

– Wiesz, jak to dobrze wreszcie odpocząć, dzień był parszywy, zrób herbatkę, proszę. Nie ma to jak w domu.

I tak, popijając herbatę i czytając gazetę, czekał cierpliwie na umówiony telefon. Kiedy mijała osiemnasta, a telefon wciąż milczał, wkurzał się i irytował, że na nikim już nie można polegać.

System jednak prawie nigdy nie zawodził. Doczekawszy się dzwonka telefonu, prokurator mówił do żony:

– Odbierz kochanie, sprawdź, kto nam zakłóca spokój!

Żona z nieukrywaną niechęcią podnosiła słuchawkę, by po: słucham, kto mówi? usłyszeć:

– Tu sierżant... – dalej padało nazwisko – proszę pilnie do telefonu pana prokuratora!

– Jest zajęty – odpowiadała – a o co chodzi?!

– Komendant pilnie wzywa pana prokuratora na miejsce zbrodni – informował sierżant.

– Chwileczkę! – mówiła żona i z wściekłością oddawała słuchawkę mężowi, który wyraźnie poddenerwowany stwierdzał:

– Że też nie dają mi spokoju nawet w domu – słucham?! – rzucał do słuchawki.

Po chwili rozmowy z policjantem wyjaśniał żonie, że musi jechać na miejsce okrutnego przestępstwa. Powoli przebierał się, z wyraźną niechęcią i smutną miną, po czym wyraźnie wzburzony wychodził, wzbudzając jej współczucie. A za chwilę na dole, pod domem, ochrzaniał sierżanta za spóźnienie. Kazał się zawieźć na miejsce spotkania ustalone z przyjaciółmi.

Metoda prokuratora działała bez zarzutu. Wyjeżdżał do zbrodni, pożarów, ofiar napadów i wojen gangów – nie zawodząc czekających na niego przyjaciół.

Zdarzało się, że musiał wybrnąć z opresji, gdy żona następnego dnia stwierdzała:

– Wiesz, w gazetach nic o tej zbrodni nie było?

– Moja droga, nie dziw się – wyjaśniał żonie prokurator – utajniłszy wszystko dla dobra śledztwa.

Pewnego razu, gdy przypadkiem znaleźli się w okolicy wielkiego pożaru, do którego prokurator był wzywany przed miesiącem, żona stwierdziła:

– Nic tu nie widzę, jakby wcale nie było żadnego pożaru?

– Ależ kochanie, był, ale nie tak wielki jak początkowo myśleliśmy. Palił się las za tymi domami, stąd tego miejsca nie widać.

– Aha – powiedziała żona i miała jeszcze spytać o okoliczności tego pożaru, ale zrezygnowała. Jej myśli już zaprzątnęła lista ważnych zakupów – auto wjeżdżało na parking przy markecie.

Z WOKANDY

Pan Zbigniew zdecydował się złożyć na ręce prezesa sądu okręgowego wniosek o przyjęcie w poczet biegłych. Dyplom i udokumentowane doświadczenie zawodowe Wysoki Sąd uznał za wystarczające. Zaledwie po miesiącu mianowano go biegłym sądowym. Wskazaną w dokumencie dziedziną jego działania było budownictwo, a wiodącym zakresem opracowywanych opinii – rozliczenia robót budowlanych. Na przestrzeni wielu lat pracy dla sądu ustanawiano go biegłym w około osiemdziesięciu sprawach.

Pierwszym rozprawom, w których uczestniczył, towarzyszył niesamowity stres. Jak należało zachować się w roli biegłego na sali sądowej, znając arkana prawa w mniejszym stopniu niż adwokaci – pełnomocnicy zajadłe walczących ze sobą stron? Po roku nabrał doświadczenia i nieco pewności siebie. Po otrzymaniu akt od sądu należało dokonać szybkiej oceny, czy w danej sprawie jest w stanie sobie poradzić.

Każda rezygnacja biegłego z wykonania opinii, niemile widziana przez sąd, musiała być sensownie uzasadniona. Odmowa bez uzasadnienia mogła spowodować jego ukaranie. Sąd formułując w swoim postanowieniu przedmiot opinii, podawał treść pytań, na które biegły miał obowiązek odpowiedzieć. Sekretarki wydziałów różnych sądów pytające telefonicznie o jego zgodę na podjęcie się sporządzenia opinii zazwyczaj nie były w stanie sprecyzować, co właściwie ma być jej przedmiotem. Gонец sądowy lub poczta dostarczały akta do domu.

Wyjątkiem były sytuacje, gdy akta liczyły wiele tomów i należało je samodzielnie odebrać. Zapoznawszy się w tempie ekspresowym

z zawartością teczek przysłanych przez sąd (co najmniej dwukrotnie – a segregatory zawierały często po kilkaset stron) i znając treść pytań, które sąd zadał biegłemu, pan Zbigniew już był zorientowany, czy będzie w stanie rzetelnie na nie odpowiedzieć. Jeśli uznał, że nawet dodatkowe czynności biegłego mogą mu nie pomóc w sporządzeniu opinii, musiał niezwłocznie odwieźć akta do sądu i zwrócić je właściwemu wydziałowi z pisemnym wyjaśnieniem.

Opinie dotyczyły sporów budowlanych, do których doszło na terenie stolicy i sąsiednich miejscowości. Przy dokonywaniu ich selekcji z reguły rozsądek, wiedza i intuicja go nie zawodziły. Największym źródłem zakłóceń podczas podejmowania decyzji o podjęciu się wykonania opinii był towarzyszący panu Zbigniewowi chroniczny brak gotówki. Ten prozaiczny aspekt spowodował, że podjął się niepotrzebnie kilku skomplikowanych i ciągnących się latami spraw.

Bywało, że z pozoru proste zadania stawały się gehenną – najczęściej z czysto ludzkich przyczyn. Chodzi tu o napastliwe zachowanie stron, i co najgorsze, obojętność, a nawet niechęć sędziów prowadzących.

Stawanie przed sądami cywilnymi, w których co najmniej jedną ze stron jest osoba fizyczna, wiązało się z podwójnym ryzykiem. Poszkodowane osoby – zwykle nieznające pogmatwanych przepisów prawa, zagubione i zestresowane – miały w sobie determinację, by walczyć o swoje. I to za wszelką cenę, zarówno na sali rozpraw, jak i poza nią – indagując biegłego na korytarzu sądowym. Nie mogąc się opanować, próbowały przed (!) i po rozprawie udowodniać swe racje biegłemu. Te niekonwencjonalne zachowania i rozgardiasz towarzyszyły rozprawie na sali sądowej. I musiał się z nimi zmierzyć sędzia.

W sprawach o przestępstwo, o których opowiadali znajomi pana Zbigniewa, bywało jeszcze gorzej. Sędzina w warszawskim sądzie cywilnym po raz kolejny prowadziła sprawę tego samego pijaka notorycznie naruszającego prawo. Podejrzany, wchodząc na salę, na jej widok zawołał:

– No nie, to znowu ty, ty stara k...o ?! Jeszcze żyjesz?

Powstało zamieszanie, a sędzina z pomocą protokolantki wezwała strażników. Tymczasem oskarżony w ogóle nie zareagował na jej uwagi i śmiało kontynuował:

– Odpieprz się od niewinnego człowieka! Uwzięłaś się chyba na mnie, zdziro stara!

I co? Po prostu nic. Wysoki Sąd jest bezbronny wobec tego typu agresji. Oskarżony – wyrzutek społeczeństwa, pijak, menel i drobny złodziejaszek – nie marzył o niczym innym, jak o powrocie do celi. Kilka miesięcy na wolności ledwo przetrwał. Z zimą nie ma żartów! Jego najlepszy kumpel właśnie zamarzył w piwnicy opuszczonego domu.

Na koniec burzliwej rozprawy, po krótkiej przerwie, sędzina ogłosiła wyrok:

„... i skazuje oskarżonego... na rok pozbawienia wolności. Karę odbędzie w...” – jednak nie zdołała dokończyć zdania.

– Chyba z tobą! – zawołał oskarżony, przerywając odczytywanie wyroku. Na jego twarzy wcale nie było widać rozpacz. Wręcz przeciwnie – ulgę, bo właśnie skończyła się jego troska o dalszy byt.

Podstawowym problemem utrudniającym rzetelną ocenę przez sąd opinii pana Zbigniewa był brak wiedzy i rutyny sędziów w rozpatrywaniu kwestii prawno-technicznych. O ile kanony postępowania rozwodowego, spadkowego, karnego etc. sędziowie mieli opanowane, o tyle niuanse prawa budowlanego i technologie budownictwa

stanowiły wyzwanie, któremu bardzo często nie potrafili sprostać. W tych kwestiach sąd powinien oprzeć się na opinii biegłego.

W ostatnich latach pojawiło się wiele nowych typów umów, np. powiernictwa inwestycyjnego, formuła „zaprojektuj i zbuduj”, a paragrafów Prawa zamówień publicznych przybywało w postępie niemal geometrycznym. Źródła, bibliografii i wyroków w wielu tematach jeszcze nie było.

Nic więc dziwnego, że gdy obie strony procesów bezkarnie i bez podstaw atakowały opinie pana Zbigniewa, zdezorientowany sąd często nie stawał w jego obronie. Co gorsza, bezbronny pan Zbigniew nie raz padł ofiarą niezyczliwości samego sądu. Czasem zachowanie sędziów bywało zaskakujące. Pewnego razu, na sali, usłyszał pod swoim adresem, ku uciesze zwaśnionych stron, taką tyradę sędziny M.:

– Rachunek wystawiony przez biegłego jest oburzająco wysoki. Mój mąż też jest biegłym z dziedziny budownictwa. Gdy zobaczył ten rachunek, powiedział mi, że taką opinię można napisać w dziesięć godzin, a nie sześćdziesiąt pięć, jak podał w karcie rozliczeniowej biegły. A ja mężowi wierzę, bo on jest fachowcem i zna się na budownictwie. Co to za godziny na zapoznanie się z literaturą fachową? Mąż powiedział mi, że to jest w ogóle niepotrzebne, a dla sądu chyba pracują cwaniacy!

– Na napisanie opinii biegły potrzebował aż tylu godzin?! A po co biegły wpisał koszty papieru, oprawy, kopiowania? Co to jest? To można w każdym biurze za darmo zrobić, oczywiście jak się gdzieś pracuje! A pan biegły gdzieś przecież pracuje, prawda?! I kontynuowała:

– Spędził pan na wizji lokalnej cztery godziny i co pan tam oglądał przez tak długi czas? Biedne te moje koleżanki, nie mają

takiego męża jak mój! Któż im doradzi?! Dają się oszukiwać, godząc się na astronomiczne rachunki biegłych!

– Informuję biegłego – kontynuowała sędzina – że Wysoki Sąd... czy pani protokolantka protokołuje?! Dlaczego pani nie protokołuje?! Każde moje słowo jest ważne!... Wysoki Sąd uznaje rachunek biegłego w wysokości pięćdziesięciu procent podanej kwoty i postanawia zobowiązać strony do wpłaty na konto sądu po czterysta pięćdziesiąt złotych tytułem pokrycia kosztów sporządzenia opinii...

A to cholerne babsko, pomyślał pan Zbigniew. Jego rachunek za opinię sporządzaną przez ponad dwa miesiące wynosił zaledwie tysiąc osiemset złotych!

Kiedy później z tego samego wydziału sądu dzwoniło do niego w sprawie wzięcia do wykonania następnych opinii, mówił jak automat:

– Niestety, jestem obecnie bardzo zajęty, wykonuję aż trzy opinie dla innych sądów – (wtedy, z uwagi na słabą informatyzację, było to nie do sprawdzenia) i zaraz dodawał:

– A przepraszam, który sędzia prowadzi tę sprawę?

Na informację, że pani sędzina M., uzupełniał swą wypowiedź z szyderczym zadowoleniem:

– A nie mówiłem pani, że jestem bardzo zajęty?

W odpowiedzi z drugiej strony słuchawki najczęściej słyszał śmiech sekretarki wydziału sądu. Sędzina M. była z pewnością powszechnie nielubiana – jak widać, nie tylko przez niego.

Przed oczami pana Zbigniewa przewinęła się cała plejada niesolidnych, pazernych budowlańców i wielu niebudzących zaufania prawników – czasem skrajnie bezczelnych cwaniaków. Firmy – rekiny rynku budowlanego – uzbrajały się w zastępy

radców prawnych, działających według swoich utartych „zasad”, czyli schematów pozwalających na ślizganie się po krawędzi prawa.

Świetnym przykładem, z którym zetknął się pan Zbigniew, jest wygrywanie przez firmy przetargów bardzo niską ceną, by na koniec realizacji wystąpić z cywilnym roszczeniem wobec inwestora z tytułu bezpodstawnego wzbogacenia. Wysoki Sąd często przychylił się do uznania meritum pozwu, nie honorując zasad Prawa zamówień publicznych.

Hm... Tak to jest z sądami – nigdy nie wiesz, co cię czeka. I wszystko jedno, czy jesteś w procesie powodem, pozwanym, czy biegłym. Wchodzisz na salę rozpraw jako biegły, a czasem w toku rozprawy towarzyszy ci odczucie, że jesteś głównym oskarżonym.

Ciekawe i bardzo dziwne zarazem jest to, że po obronie swojej opinii na dwóch, czasem trzech rozprawach rola biegłego się kończy. Jaki był wyrok w sprawie – nigdy się nie dowiaduje. Nie wie, czy i w jaki sposób jego opinia zaważyła na decyzji sądu.

Ba, nie wie nawet, czy po jego opinii sporządzano inne opinie i jak długo trwał cały proces. Jest całkowicie pozbawiony dostępu do akt – przestał być biegłym w konkretnej sprawie. To trochę tak, jakby chirurga pozbawiono wszelkiego kontaktu ze operowanymi przez niego pacjentami – przez co nie wie, jakim naprawdę jest lekarzem. I spekuluje w swojej głowie, ile lat i w jakiej kondycji przeżyła operowana przez niego osoba. Biegły w dalszym toku procesu sądowego jest nieobecny niczym persona non grata. Nikogo nie interesuje jego ambicja i własna potrzeba dokonania samooceny. Obiektywna, sądowa weryfikacja jego wieloletniej pracy nigdy nie następuje.

Nie ma co się dziwić reakcji pana Zbigniewa, gdy na jednej z rozpraw bezlitośnie obrażali go agresywni prawnicy powoda i pozwanego, przy biernej, ba, nawet aprobującej postawie sędziny.

Był bliski załamania nerwowego, gdy zadzwonił jego telefon, niewyłączony na czas rozprawy. Sędzina już, już, chciała go upomnieć, jednak pan Zbigniew odebrał połączenie i rzekł:

– A cześć! – i najspokojniej w świecie słuchał długiej wypowiedzi swojego rozmówcy, potakując mu ochoczo i dodając: – I miałeś rację! – śmiejąc się przy tym głośno.

Adwokaci zgodnie zgłosili protest, a sędzina, przekrzykując ich głosy, nakazała biegłemu natychmiast wyłączyć telefon. Niezrażony protestami pan Zbigniew kontynuował rozmowę:

– Wiesz co, tu gdzie jestem, panuje jakiś zgiełk, słabo cię słyszę, poczekaj, przejdę w spokojniejsze miejsce – po czym wyszedł na korytarz sądowy, dokładnie zamykając za sobą drzwi.

I co nastąpiło później? Epilog zdarzenia przyniósł niespodziankę. Gdy biegły skończył rozmowę i nie spodziewając się niczego przyjemnego, powrócił na salę rozpraw, dowiedział się, że sędzina właśnie postanowiła o natychmiastowym wyłączeniu go ze sprawy i rozliczeniu w całości należności za wykonaną opinię.

Cóż lepszego mogło spotkać pana Zbigniewa? Wychodząc z sali, słyszał przekrzykujących się prawników. Boże, co za ulga, westchnął, myśląc z wdzięcznością o twórcach telefonu komórkowego. Procesy sądowe przebiegające bez zgrzytów i kończące się szybkim wyrokiem należały do rzadkości. Pan Zbigniew kilka razy odbierał nocne telefony z karalnymi pogroźkami. Podjęto też dwie próby wtargnięcia do jego domu.

Bogini Temida, małżonka Zeusa, dzierżąca róg obfitości, wagę i miecz kojarzyła się panu Zbigniewowi z wiecznym porządkiem, przestrzeganiem prawa i sprawiedliwości. Niestety życie gruntownie zweryfikowało ten obraz z mitologii greckiej. W sądach coraz częściej szerzą się bezprawie i niesprawiedliwość.

TRANSPORT, KTÓRY ZNIKNAŁ, CZYLI CIĘŻARÓWKA WIDMO

W centrum Rygi, na jednym z podwórz, stoi do dziś w otoczeniu wysokich bloków niski, zmurszały budynek z cegły, z zawilgoconymi ścianami i podłogą wykonaną z prostych desek, pomalowanych ciemnobrązową farbą. Z zewnątrz wygląda jak mały czarnoksięski pałacyk z dwiema wieżyczkami. To tu Valdis prowadził swój biznes w okresie narodzin wyzwolonej Łotwy. Opowiada o tym przy piwie, które nieco łągodzi towarzyszące mu, wciąż powracające emocje.

Skorzastał z pomocy znajomych, którzy znali właściciela niemieckiej firmy z Dortmundu. Niemiecka firma była pośrednikiem – dostawcą popularnych wyrobów do jednej z sieci handlowych RFN: stołów piwnych ze składanymi nogami, popularnych na Oktoberfest, a także metalowych regałów, wykonanych z cienkiej blachy, przeznaczonych do biur, magazynów, także domowych piwnic na przetwory i narzędzia. I poszukiwała taniego producenta. Valdis poleciał z Rygi do Frankfurtu za bajońskie (i pożyczkowe) pieniądze – ponad osiemset pięćdziesiąt marek. Zawiózł do zatwierdzenia wzór regału wykonany w Rydze. Znajomi wystąpili w roli pośredników.

Na miejscu uwag do regału było wiele, więc zapewnił właściciela niemieckiej firmy, że następny będzie już bez błędów. Uzgodnił, że poprawiony egzemplarz dostarczy do Dortmundu w celu ostatecznej akceptacji ryska firma transportowa. Tak też się stało. Na szczęście ten regał już nie budził zastrzeżeń. Valdis wcześniej

przeżył istne katusze, związane z poszukiwaniem w Rydze firmy, która zdołałaby nie tylko wykonać takie regały, ale produkować je w ilościach do pięciu tysięcy sztuk tygodniowo!

Rok 1992 był dla Łotwy – właśnie wyzwolonej z komunistycznej niewoli – bardzo trudny. Upadły niemal wszystkie zakłady produkcyjne. Nie miały już rynku zbytu w Rosji Radzieckiej, więc i surowce stamtąd przestały docierać. Łotewskie produkty nie były kupowane przez Rosję ze względów politycznych. Zakłady, które produkowały wyroby zaawansowane technicznie, z powodu braku zamówień, surowców i kapitału niemal całkowicie wstrzymały produkcję.

Zanim Valdis zdołał przygotować ofertę, długo i bez powodzenia przemierzał Rygę, odwiedzając liczne firmy. Wszędzie widział to samo – wegetujące resztki dawnej załogi, wyłączone linie produkcyjne. Trwali w zakładzie, czekając na to, że zdarzy się cud. Kolejni potencjalni producenci regałów okazywali się całkowicie nieprzygotowani, nie mieli odpowiednich maszyn i dostępu do surowca – blachy o grubości pół milimetra. Do wyzwolenia planowo dostarczano ją z radzieckiej republiki Kazachstan. Teraz niełatwo było ją zdobyć.

Podpowiedziano mu, by spróbował ulokować zlecenie w ryskiej fabryce opraw oświetleniowych. Fabryka była na skraju bankructwa. Z czterystu pracowników pozostała w zakładzie niepełna setka. Oprawy w niej wyprodukowane rozświetlały cały Kraj Rad. Zakład tonął w długach, a każdy jego zarobek zabierały banki na poczet niespłaconych kredytów. Garstka pracowników wegetowała, brakowało im podstawowych środków do życia. Jednak uparcie, każdego ranka zjawiali się w zakładzie gotowi do pracy.

Rozmowa z dyrektorem zrodziła w Valdisie iskierkę nadziei. Przynajmniej padły jakieś konkrety. Na nowe sztance do tłoczenia blachy zakład potrzebował dwieście pięćdziesiąt tysięcy rubli. To nie stanowiło problemu, Valdis miał właśnie taką sumę, uzbieraną ze sprzedaży importowanych towarów. Dyrektor nie był jednak pewien, czy zdoła sprowadzić odpowiednią blachę, za jaką cenę i czy będą to dostawy regularne.

Wtedy kwitł barter (wymiana towaru na towar) – pieniędzy nie miał nikt. Dyrektor nie wiedział, co zaproponować Kazachom w zamian za blachę, gdyż w Rydze niczego nie produkowano. Może z jednym wyjątkiem – słynna nalewka Ryski balsam wciąż cieszyła się powodzeniem. W końcu zakład poinformował Valdisa, że wynalazł coś na barter, ale postawił mu istotny warunek.

Umowa na produkcję regałów mogła być podpisana na dostawy przez okres co najmniej jednego roku. Tymczasem zamówienia z firmy niemieckiej miały być ponawiane co miesiąc i Valdis nie miał żadnej pewności, czy mimo ustnych zapewnień o gwarantowanych comiesięcznych zamówieniach, nagle nie nastąpi w nich przerwa, albo, co gorsza, rezygnacja.

Nie mógł pogodzić się z tym, że może upaść biznes jego życia. Wyszedł z założenia, że bez ryzyka nie robi się dobrych interesów i chcąc przełamać ten impas, podpisał umowę z ryskim zakładem na dostawy przez cały rok. Po odliczeniu od zaproponowanej przez Niemca ceny regału wszystkich kosztów: jego produkcji w fabryce, transportu do Niemiec, wynajmu biura, płac dla współpracowników i cichej premii dla kierowników zmian, zostawał całkiem uczciwy zysk. Po uzgodnieniu na piśmie warunków umowy Valdis faksem potwierdził Niemcom gotowość dostaw.

Niemiecka firma podała termin pierwszej dostawy do Dortmundu – była to połowa września. Uprzedzono go, że w przypadku opóźnienia zamówienie straci ważność. Valdis przekazał zakładowi pieniądze na oprzyrządowanie produkcji i czekał na pierwsze regały. Każda ciężarówka miała zabierać do Niemiec dwa tysiące pięćset sztuk, ułożonych w specjalny sposób. Niemcy przysłali faksem rysunek optymalnego rozmieszczenia regałów na skrzyni ciężarówki.

Po tygodniu zaczął się horror. Fabryka poinformowała, że ma problem ze ściągnięciem dostaw blachy. Próby suszenia malowanych natryskowo regałów wykazały, że zakład nie posiada odpowiedniej przestrzeni i infrastruktury. Brakowało także nadmuchu gorącym powietrzem. Pakowanie niedosuszonych regałów skutkowałoby odrzuceniem towaru. Ostatnia wiadomość z zakładu brzmiała jak wyrok. Po wyprodukowaniu pięciuset egzemplarzy skończył się stary zapas blachy, a nowa nie nadeszła.

Wobec mnożących się trudności na Valdisa i jego dwóch współpracowników padł blady strach – termin pierwszej, pilotażowej dostawy, od sukcesu której zależały następne zamówienia, upływał za dwa tygodnie. Jedyne, czego mógł być umiarkowanie pewien, to gotowość ryzykującej firmy transportowej do przewozu regałów do Niemiec. Byli szczęśliwi z podpisanej umowy, bo wożenie czegokolwiek na zachód graniczyło z cudem. Puste TIR-y jeździły do Niemiec po odbiór towarów importowanych.

Upłynął kolejny tydzień, który niczego nie zmienił – zakład milczał. Za to Valdis odebrał telefony z Niemiec i od znajomych pośredników z pytaniem, czy transport wyjechał, bo za tydzień mija termin dostawy. Od tego dnia zamawiający codziennie wykonywał alarmujące telefony. Valdis odpowiadał, że wszystko jest

w jak najlepszym porządku, towar jest gotowy i wkrótce nastąpi załadunek. Surowa blacha z Kazachstanu dotarła do Rygi na siedem dni przed terminem dostawy regałów do Niemiec. Stało się jasne, że najprawdopodobniej właśnie szlag trafił interes jego życia.

W akcie rozpaczy, by choć trochę uspokoić Niemców, Valdis zagrał *va banque*. W rozmowie telefonicznej z Dortmundem, blefując, oświadczył, że TIR z regałami właśnie wyjechał i najdalej za 3 dni będzie na miejscu. Domyślając się, że Niemcy zapytają o numer rejestracyjny ciężarówki, uzgodnił „pod przysięgą” z właścicielami firmy transportowej, że na pewno z Rygi wyjedzie z regałami TIR o numerach rejestracyjnych takich, które Niemcom zaraz potwierdzi. Ten samochód miał czekać w gotowości na towar.

Gdy po trzech dniach ciężarówka do Dortmundu nie dotarła, bo wciąż czekała w Rydze na regały – zdenerwowany niemiecki klient dzwonił już co godzinę. Powiadomił Valdisa, że wysyłają na niemiecko-polskie przejście graniczne człowieka na rowerze, by „wyłowić” samochód oczekujący pewnie w długiej kolejce na odprawę celną. Prawda o tym, że żaden TIR o podanych numerach nie stoi na granicy wyszła na jaw już po trzech godzinach.

Oddelegowany przez niemieckiego partnera pracownik poinformował, że pojazd o podanym numerze do granicy nie dotarł, bo nie stoi w długiej, jak zwykle, kolejce. Idąc do końca w zaparte, Valdis blefował dalej, informując, że albo ciężarówka ma awarię, albo pojechała na inne przejście graniczne, bo kierowcy są nieprzewidywalni. W tym czasie rycki zakład, zmobilizowany do granic możliwości, kończył produkcję pierwszej partii regałów, dosuszał je na wszelkie możliwe sposoby i pakował w folie.

Valdis załamał się, albowiem termin dostawy właśnie minął, a zakład dopiero kończył produkcję. Mimo to wręczył kierownikowi

zmiany nieprzewidzianą w umowie kolejną premię motywacyjną dla pracowników.

Niemiecki klient był całkowicie zdezorientowany. Mimo solennych zapewnień Valdisa nie mógł uwierzyć, że ciężarówka jedzie z Rygi do Niemiec już dziewięć dni! A ten uparcie twierdził, że TIR wyjechał i widocznie coś złego musiało się wydarzyć. Telefonu komórkowego kierowca nie miał, wtedy ich cena była niezwykle wysoka. Błef przyniósł ten skutek, że zachodni klient wynegocjował z niemiecką siecią handlową nowy, przesunięty o kilka dni, ostateczny termin dostawy, prawdopodobnie godząc się na jakąś karę umowną.

Valdis, mając zszarpane nerwy wielodniową błagą, nie był już w stanie dłużej kłamać i przestał odbierać telefony. Była środa, godzina siedemnasta, gdy zakończono załadunek regałów na TIR-a, układając je zgodnie z niemiecką instrukcją. Ciężarówka miała właściwe, podane wcześniej numery rejestracyjne. Pamiętał, by antydatować fakturę za towar – o dziesięć dni.

Właśnie nadeszła z Niemiec, jak podkreślono, tym razem absolutnie ostateczna wiadomość, że jeśli dostawa nie dotrze do Dortmundu w piątek do godziny dziesiątej rano, to bieżące zamówienie i wszystkie przyszłe zostaną całkowicie i bezpowrotnie anulowane. Dowiedziawszy się o tym, Valdis wręczył kierowcy TIR-a ostatni posiadany pięćdziesięciomarkowy banknot z błagalną prośbą o jazdę bez przystanków i poinformował, że po godzinie dziesiątej w piątek nikt w Dortmundzie tej dostawy już nie przyjmie. Znowu upłynęło kilka bezcennych godzin, bo do ryskiego zakładu z opóźnieniem przyjechał umundurowany pracownik lotewskiej służby celnej. Opieczętował dokumenty przewozowe i fakturę oraz założył plomby celne. Valdis zapamiętał jego zdziwioną minę.

Nie mógł uwierzyć, że z Rygi w ogóle jakieś towary wyjeżdżają do Niemiec. Kontrabandy nie znalazł, za to zakwestionował plandekę, która nieco odstawała od skrzyni. W końcu dało się ją szczelnie naciągnąć i celnik mógł założyć standardowe plomby, ściągając ku sobie drutami znajdujące się po obu stronach plandeki otwory obramowane metalowymi kółkami.

Samochód wyruszył w trasę o godzinie dwudziestej trzeciej. Pozostawało się modlić, by zdołał dojechać na czas. Do przejechania po fatalnych drogach miał blisko dwa tysiące kilometrów. Trzydzieści godzin nieprzerwanej jazdy ze średnią prędkością ponad sześćdziesiąt km/h. Niestety przerwy były nieuniknione, na wszystkich granicach były kolejki, czasem jedno- lub dwudniowe. A kierowca musiał przekroczyć aż trzy. Z prostych wyliczeń wynikało, że szansa, aby TIR dojechał na czas, była właściwie żadna.

Teoretycznie godzin starczało na sam przejazd, jeśli jednak samochód trafiłby na granicach więcej niż po dwie godziny, przyjechałby po wyznaczonym terminie dostawy. Pozostawało czekanie, bez wiary w sukces.

Przez cały czwartek urywały się telefony z Niemiec i od pośredników. Nikt nie był w stanie rozmawiać, więc aparat w końcu wyłączono. Napięcie sięgnęło zenitu, a w nocy z czwartku na piątek nikt nie zasnął. W piątek wszyscy przyszedli do biura punktualnie o ósmej. Faks i telefon zostały włączone, ale tym razem milczały jak zakłete. Valdis, tłumaczka i handlowiec wciąż spoglądali na zegarek. Nadzieja, że TIR dojedzie na czas wydawała się irracjonalna.

Minęła dziewiąta, pół do dziesiątej – panowała wciąż cisza jak makiem zasiał. Gdy na zegarze wybiła dziesiąta, a za chwilę wskazówka minutowa przekroczyła ją o kwadrans, wszyscy

opuścili głowy. Zapanowało cholerne poczucie zmarnowanej szansy. Szczególnie z winy zakładu, który mimo tylu starań i próśb oraz przekazywanych ekstra pieniędzy zawałił termin produkcji.

Gdy już zaczęto rozpamiętywać przyczyny klęski, rozległ się dźwięk telefonu. Była godzina dziesiąta dwadzieścia. Valdis podniósł słuchawkę. Dzwonili pośrednicy. Gotowy na najgorsze usłyszał, że właściciel niemieckiej firmy punktualnie o dziesiątej wyszedł na ulicę i zobaczył ciężarówkę z Łotwy stojącą przed jego firmą. Numery rejestracyjne pojazdu zgadzały się. Kierowca zasnął po przyjeździe na miejsce, wciąż siedząc za kierownicą.

Epilog

Valdis do swojej błagi nigdy się nie przyznał. Przecież towar dojechał, numery samochodu zgadzały się, a i faktura nosiła właściwą datę.

Historia z regałami potoczyła się dalej. Niemiecka firma składała zamówienia na jedną lub dwie ciężarówki tygodniowo, a zakład jakoś dawał radę te ilości wyprodukować. Pojawiły się za to inne problemy. Oficjalne wpływy za towar nie trafiały do zakładu, a na konta jego wierzycieli. Nieoczekiwane ultimatum dyrektora brzmiało:

– Gotówka albo koniec z produkcją. Nie mamy pieniędzy na zakup blachy.

Niemieckie przepisy skarbowe nie pozwalały na wypłatę gotówki firmie zagranicznej. Obowiązywały przelewy bankowe. Negocjacje z Niemcami przyniosły jednak pozytywny skutek. Widać zwyciężyła chęć osiągnięcia zysku i obawa przed karami umownymi. To trudne zadanie Valdis musiał wziąć na siebie. Wożenie przy sobie dużych sum, oczywiście bez zgłaszania na

granicy, było związane z ogromnym ryzykiem. O oficjalnym ich deklarowaniu nie mogło być mowy. Ewentualność konfiskaty przez niemieckich czy łotewskich celników to nie był jedyny problem.

Łotewska mafia składająca się głównie z mieszkańców byłych republik ZSRR, w tym pracowników zwolnionych ze służb specjalnych, łatwo mogła dowiedzieć się o przewożonej gotówce.

Życie Valdisa znalazło się w poważnym niebezpieczeństwie. Niemiec zgodził się przekazać pieniądze wyłącznie jemu. Dla zdobycia nawet stu dolarów strzelano w Rydze bez skrupułów. Porachunki mafijne i zabójstwa były wtedy gwarantowanymi newsami w codziennych mediach. Kiedy Valdis szczęśliwie wyleciał samolotem Lufthansy z Frankfurtu, wioząc pieniądze w teczce, wiedział, że o oficjalnym zgłoszeniu dewiz na lotnisku w Rydze nawet nie ma mowy. Miał świadomość, że skonfiskują je od razu pod byle pretekstem, albo, co nie mniej prawdopodobne, dadzą cynk i zostanie ostrzelany przez nieznaną sprawców w drodze z lotniska do miasta. Z duszą na ramieniu niczego łotewskim celnikom nie zgłosił, i z teczką pełną pieniędzy opuścił strefę celną.

Gdy wszedł na teren dworca lotniczego, dostrzegł natychmiast współpracownika, który błąd jak ściana, pytając kiwnął mu głową:

– W porządku?!

Przyjechał po Valdisa samochodem i było widać, że bardzo się boi. Rozglądał się niepewnie dookoła i gdy szli do samochodu, ciągle przyspieszał kroku. Valdis odniósł wrażenie, że w jego oczach wszyscy wokół wydawali mu się podejrzani. W końcu i jemu samemu udzielił się jego stan. Popędzili do miasta tak szybko, jak się dało.

Transakcja gotówkowa nastąpiła jeszcze raz, ale odbyła się w innych okolicznościach i zmienioną trasą. Niestety po kilku

miesiącach kontynuacji regałowego biznesu został mu zadany cios. Nastąpił z najmniej spodziewanej strony. Niemiecki klient najpierw celowo odwołał trzy kolejne zamówienia, a gdy góra regałów wypełniła wszystkie wolne przestrzenie ryskiego zakładu, przyleciał w tajemnicy do Rygi. Spotkał się z dyrektorem fabryki i podpisał z nim kontrakt z pominięciem firmy Valdisa.

Była to perfidna zdrada i złamanie zasady *gentlemen's agreement*. Tyle starań, zaangażowanych środków, ryzyka, biznesowy bluff – i na koniec porażka. Tak bywa w biznesie i remedium na to nie istnieje.

ETAŻOWA NA ETACIE

Nocleg w moskiewskim hotelu Mińsk. Delegaci z Polski zmierzają do pokoi wskazanych przez recepcję. Niosą swoje siermiężne walizki, których postęp technologiczny, wolno następujący w socjalizmie, nie zdążył wyposażyć w kółeczka. Ich przyjazd, skład delegacji i ranga jej uczestników były od dawna znane hotelowi. Niczego nie zostawiono przypadkowi. Delegatów umieszczono w hotelu według harmonogramu sporządzonego przez oficera KGB – zgodnie z rangą, w apartamentach lub pokojach dwuosobowych.

Oficer dyżurny otrzymał odpowiednie wytyczne z moskiewskiej centrali na Łubiance. Apartamenty miały świetny system „nagłaśniania zwrotnego” – żadne słowo w nim wypowiedziane nie ulatywało bezpowrotnie w eter. Gdzieś w ukrytych pomieszczeniach, niedostępnych nawet dla obsługi hotelowej, siedzieli znużeni ludzie na dyżurach. Patrzyli beznamiętnie na szpule z wolno obracającymi się taśmami. Nie mogli dopuścić do przerwy w nagraniach, więc gdy wskaźnik długości taśmy zbliżał się do końca, przełączali odbierany sygnał na inny magnetofon. Po wyjęciu szpuli należało ją opisać – podać źródło nagrania – czyli numer pokoju lub apartamentu, czas rozpoczęcia i zakończenia zapisu.

Opisaną szpulę wkładano do plastikowej skrzynki, zawierającej taśmy z podsłuchu innych pomieszczeń hotelowych. Do wypełnionej skrzynki wkładano protokół – wykaz taśm z podpisem pracownika służby bezpieczeństwa wewnętrznego. Co dwie godziny wyruszał z podziemi hotelu niczym niewyróżniający się samochód dostawczy. W środku pomieszczenia bagażowego siedział uzbrojony agent i strzegł kolejnej partii skrzynek. Trasę

do Placu Dzierżyńskiego samochód pokonywał w kilkanaście minut. Po przekroczeniu trzech kontrolowanych bram auto stało w garażu siedziby KGB, przy strzeżonej windzie.

Skrzynki wieziono do pokojów, gdzie śledczy umieszczali je na półkach oznaczonych nazwą hotelu i właściwym piętrem. Półki były swoistymi „kopiami” każdego moskiewskiego hotelu. Oficerowie odsłuchujący taśmy znali biegle języki obce – ani jedno wypowiedziane słowo czy zdanie nie mogło pozostać niezrozumiane. Czasem fragmenty taśm odsłuchiowano wielokrotnie. Treść rozmów nie mogła budzić żadnych wątpliwości. Oficer wystukiwał na maszynie do pisania zarejestrowane rozmowy. Pisał w dwóch egzemplarzach – przez kalkę.

Oficer tłumacz po zakończeniu tłumaczenia jedną kopię maszynopisu zachowywał w tajnym archiwum, natomiast podpisane przez siebie oryginały zanosił naczelnikowi wraz z kolejnym meldunkiem. Podczas dnia roboczego składał kilka takich meldunków. Jeśli treść tłumaczonych rozmów była niejasna albo budziła niepokój, oficer miał obowiązek złożyć natychmiast meldunek naczelnikowi.

I to naczelnik decydował, czy i w jaki sposób uruchomić służby wywiadu stale przebywające w odizolowanych pomieszczeniach każdego hotelu. Podejrzani goście nie mogli bezkarnie go opuścić. Należało zapewnić im niezauważalne, ale stałe towarzystwo służb bezpieczeństwa.

Podśluch stanowił ważne ogniwo systemu. Każda rozmowa telefoniczna prowadzona w pokoju hotelowym uruchamiała niezależne mechanizmy zapisu magnetofonowego i podśluchu bezpośredniego. Informacje uzyskane tą drogą również trafiały na biurko naczelnika KGB.

Innym, może nawet bardziej istotnym elementem inwigilacji i obserwacji była bardzo ważna instytucja hotelowa – pani etażowa.

Tak, właśnie na stanowisku dyżuru na piętrach (słowo *etaż* oznacza piętro) i wszystkich korytarzach hoteli pracowały wyłącznie kobiety. Zabieg socjotechniczny polegał na tym, by stanowisko obserwatora i wywiadowcy powierzyć budzącej ciepłe skojarzenia kobiecie. Już niemłodej, po pięćdziesiątce, takiej, której agent obcych służb nie zawróci w głowie. Oczywiście świetnie wykształconej i doświadczonej, umiejącej w mig rozpoznać żywe zagrożenie.

Budziła sympatię, prosiło się ją o wrzątek, nawet o herbatę. Etażowa widziała i wiedziała wszystko. Była żywym symbolem systemu komunistycznego i ZSRR. W czasach, gdy nie było telewizji przemysłowej i monitoringu, oczy i uszy wszechwiedzącej etażowej były na wagę złota.

Delegat z Polski zawsze trafiał do hotelu, bo inne miejsca pobytu w tym systemie nie były możliwe. Delegat w podróży służbowej w mieszkaniu obywatela ZSRR? To wykluczone, to ciężkie przestępstwo zarówno gościa, jak i gospodarza. Służby graniczno-paszportowe na lotnisku indagowały go w następujący sposób:

– A który hotel ma pan zarezerwowany?

W przypadku błędnej odpowiedzi delegat był natychmiast poucany:

– To nie jest wasz hotel. Macie rezerwację w hotelu... – podawano właściwą nazwę.

– Czy nie poinformowano pana o zmianie? Ach, ci Polacy, wiecznie bałagan wprowadzają. Zrozumiał pan? Jedzie pan do hotelu...

System, od czasu rewolucji, wprowadzał daleko posunięty – poza granice ludzkiej wolności – porządek w życiu zawodowym i osobistym. Obywatele w nim urodzeni uważali skrajne posłuszeństwo i kary za jego brak za coś najzupełniej normalnego.

Delegat z Polski przyjeżdża więc do właściwego hotelu, dostaje meldunek i klucz. Kieruje się na wskazane piętro i co widzi?

Obok jego pokoju, przy dużym, eleganckim mahoniowym biurku siedzi sobie okrągłutka paniusia, z włosami upiętymi w wysoki kok. Duże, drewniane biurko o masywnych, giętych nogach i wygładzie urzędniczego, carskiego mebla, stoi dokładnie na środku korytarza hotelowego. Etażowa ma w polu widzenia całe piętro. Staromodna lampa gabinetowa rzuca wokół przyjazne, zielone światło. Pani popija herbatkę, niby to czyta dokumenty i od czasu do czasu prowadzi nic nieznaczącą rozmowę z koleżanką z sąsiedniego piętra. Ale za pozornym spokojem kryje się czujność i koncentracja.

Ta miła pani, powiedzmy, Swieta, ma właściwie jedno zadanie: musi wiedzieć wszystko o mieszkańcach tego piętra. I wie! Słyszy i widzi, że pan z pokoju trzysta trzy, delegat z Polski, o godzinie dwudziestej trzydziści poszedł do pokoju trzysta siedem, w którym zamieszkała młoda delegatka z Polski. I wyszedł z niego o godzinie dwudziestej trzeciej siedemnaście, mając nieco chwiejny krok i zwichrzone włosy. Już zapisane. A za chwilę ruch obok – dzwoni więc pilnie do koleżanki z niższego piętra:

– Katia, do ciebie idzie gość z pokoju trzysta czternaście – uważaj, do kogo wejdzie.

Ale jej służbowa koleżanka z KGB – Katia (której stopnia nigdy nie poznamy) widzi, że gość schodzi dalej, więc dzwoni na piętro niżej, by powiadomić Nadieżdę. Nasza etażowa nasłuchuje, wypatruje i pisze. Pisze swoje sprawozdanie z dyżuru, które musi pilnie przekazać na koniec pracy, przed szóstą rano, swojemu przełożonemu z urzędu bezpieczeństwa. Jego gabinet ukryty jest gdzieś w czeluściach hotelu. Stamtąd notatki naszej miłej etażowej trafiają kurierem bezpośrednio do KGB.

Ciężko i z wielkim poświęceniem Moskwa pracuje w nocy. Niczego nie można przecież przegapić, wiedza o każdym gościu hotelowym musi być doskonała i tak kompletna, by móc ją w odpowiednim momencie wykorzystać.

Kiedy rano rozpoczynają się rozmowy handlowe polskiej delegacji z radziecką centralą handlu zagranicznego, moskiewscy „partnerzy” wiedzą już wszystko o tym, jak każdy z delegatów spędził w Moskwie pierwszy dzień i noc. Jakiś smutny gość snuł się za każdym z nich po mieście i przekazał, że wczoraj, po zameldowaniu się w hotelu, chcąc kupić coś ze złota, delegat dotarł do sklepu jubilerskiego na ulicy Gorkiego. I mimo piętnastostopniowego mrozu odstał w kolejce ponad dwie godziny, by nie przyznawszy się, że jest Polakiem, kupić za delegacyjne diety dwie złote obrączki trzeciej próby pięćset osiemdziesiąt trzy.

Kupić złoto – to był prywatny cel polskiego delegata. Jego moskiewski anioł stróż o tym wiedział. Właśnie po złoto warto było jechać w delegację pociągiem lub lecieć samolotem. Prawie każdy Polak tak robił. Jeśli ktoś z delegatów sądził, że chodzi po Moskwie sam, to mylił się. Jego partnerzy z moskiewskiej centrali handlowej wiedzieli nawet to, że kupił rosyjski koniak, a następnie wsiadł do metra w kierunku...

Mniejsza o to, wiedzieli wszystko i mieli zapisane trasy polskiego delegata, których nawet on sam nie zapamiętał. Porządek musi być! Żeby osłabić, zmęczyć i upokorzyć polskiego przeciwnika, zwanego oficjalnie partnerem, podczas kilkugodzinnych rozmów radzanie z Kraju Rad nie proponowali polskiemu delegatowi nawet szklanki wody. Sami zaś co chwilę znikali na zapleczu, by w kularach coś wypić i zakąsić. Tak pokazywano polaczkom, w ramach stalinowskiej psychofizycznej obróbki, gdzie jest należyne im miejsce.

Propaganda ZSRR wpajała swoim obywatelom wiedzę, że Polaków, wiecznie strajkujących nierobów, to Rosjanie utrzymują. Relacje, o których piszę, dotyczą przełomu lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. To skromny, cząstkowy opis ówczesnych realiów i przygnębiającej atmosfery.

Potem nastąpiła epoka pseudozmian Jelcyna, pierestrojka Gorbaczowa i... historia zatoczyła koło. Dzisiaj w Rosji trwa powtórka z komunizmu. Mimo internetu, rozmów przez komórki, prawdy Rosjanie nie znają. Nie znajdują jej w komputerze, zakłamaney telewizji i radiu. Poglądy, że kraj rozwija się i zmierza ku czemuś lepszemu, to efekt zaślepienia przez wyrafinowaną, nacjonalistyczną indoktrynację. Dywersja moskiewskiego hejtu paraliżuje kraj i świat.

Rosyjska władza wykorzystuje środki masowego przekazu i wszystkie inne możliwe formy komunikacji, by kontynuować autorytarne rządy – siać w Rosji terror i strach, a destrukcję na świecie. Doktryna umacniania własnej pozycji przez dywersję polityczno-gospodarczą w innych krajach jest podłością i świadectwem nienawiści wobec ludzkości.

Inne czasy, inne technologie, ale cele te same. Oligarchiczne, pazerne rządy wpędza ludzi w coraz większą biedę. Propaganda władzy wmawia im, że wegetują w imię odbudowy Wielkiej Rosji i, jak zwykle, większość ludzi w to wierzy. Rośnie odsetek wyznawców Stalina i Lenina. Napaść putinowskiej Rosji na Ukrainę jest tragedią cywilizowanego świata. Polska może stać się kolejnym celem. Czy ten kraj kiedyś obudzi się i wyzwoli z odwiecznego zamordyzmu? Czy ślepe posłuszeństwo wobec władzy wpajane przez setki lat stało się trwale nabytą cechą Rosjan? Sankcje zachodu, załamanie gospodarcze spowodowane wojną i emigracje wykształconych Rosjan za granicę mogą pomóc odnowie. Wciąż jednak nie pojawiają się znaczące symptomy pozytywnych zmian.

POMARAŃCZOWE ZMIANY – TU NIE

Wstęp

Akcja opowiadania rozgrywa się w rejonie donieckim ZSRR pod koniec lat osiemdziesiątych. W roku 1991 obwód doniecki stał się częścią Ukrainy, nowego państwa na mapie Europy. Wybory prezydenckie w 1994 roku, sfałszowane przez prorosyjskie siły polityczne, doprowadziły do spontanicznego wybuchu pomarańczowej rewolucji, która ustabilizowała suwerenność Ukrainy. Mieszkańcy wschodniej Ukrainy, niemal wyłącznie rosyjskojęzyczni, nie akceptowali pomarańczowych zmian. W 2014 roku Rosja wykorzystwała ich prorosyjski separatyzm. Powstała Doniecka Republika Ludowa, nieuznawana przez niemal wszystkie kraje świata. Walki toczone w obwodzie donieckim pociągnęły za sobą tysiące ofiar i wielkie zniszczenia. Na tych terenach w czasach ZSRR władze prowadziły gospodarkę rabunkową, niszcząc przyrodę, upadlając ludzi głodowymi stawkami za ciężką, górniczą pracę – nie zapewniając niczego. Tytuł opowiadania, które jest wspomnieniem autora z pobytu w rejonie Doniecka, ma nieco proroczy charakter.

Koniec lat osiemdziesiątych. Po locie do Doniecka jedziemy dalej samochodem na polskie budowy przechowalni warzyw i owoców. Pierwszą miejscowością jest Makiejewka. Są na świecie miejsca, do których nie dotarła współczesna cywilizacja i kultura. Ale w Europie? Wspomnienia ze wschodniej Ukrainy są druzgocące. Nowe, a już rozklekotane żiguli wolno zmierza ku budowom znacznie oddalonym od metropolii. Jazda przypomina

ślalom – w drogach znajdują się wielkich rozmiarów dziury, pęknięcia, rozpadliny i garby. By nie urwać podwozia, należy je omijać starannie i z niewielką prędkością. Wokół szaro-czarne pustkowiec pozbawione roślinności. Step bez życia. Po wielu godzinach wyczerpującej jazdy docieramy do celu. Są nim chaotycznie zabudowane niewielkie miejscowości.

Gdzieś głęboko pod nami w nieludzkich warunkach pracują ludzie. W labiryncie wyrąbanych w węglu kopalnianych korytarzy wre praca. Znojna, ciężka i niebezpieczna, bo zysk najłatwiej osiągnąć, lekceważąc wymogi bezpieczeństwa. Te oszczędności nijak się mają do nędznego wynagrodzenia, które otrzymuje górnik. Wszędzie widać ubóstwo i brud. Bieda w rejonie donieckim ma różne oblicza. W sklepie od czasu do czasu jest chleb i pojawiają się jajka, za to wódka zawsze stoi na półkach. Warzyw w ogóle brak, ziemniaki są rzadkością. Jak i wiele innych produktów – wydają się niejadalne.

Ludzie w zniszczonych ubraniach, wynędzniali, poruszają się jakby bez planu. Ktoś zaprasza nas do swojego lokum. Będziemy nocować obok, w służbowym mieszkaniu. Wielopiętrowy blok wraz z kilkoma innymi kontrastuje z otaczającą go bezkresną równiną. Cóż, zbudowano go według komunistycznego, obowiązującego projektu. Takie się produkuje, a że nie odpowiadają warunkom lokalizacji? O planowaniu przestrzennym nikt tu nie słyszał. Dach nad głową jest najważniejszy.

Drzwi wejściowe do budynku nie zamykają się, bo górny zawias jest wyrwany. Podczas kilkudniowego pobytu wyłania się przed nami obraz życia w wielopiętrowym bloku. Sąsiedki krzyczą coś do siebie, choć dzieli je kilka pięter. Przez niedomykające się,

wykonane z cienkiej płyty nieuszczelne drzwi mieszkań na klatkę schodową bez przeszkód docierają toczące się kłótnie, płacze.

Małe, umorusane i pozostawione bez opieki dzieci „bawią się” na krzywej klatce schodowej na siódmym piętrze. Spuszczają nóżki w pustą, szeroką przestrzeń pomiędzy przeciwnymi biegami schodów. A pod nogami – dwudziestometrowa przepaść. Wykonawca planowo, na czas oddał blok, ale o poręczach na klatce schodowej – zapomniał. A może w ogóle nie było ich w projekcie? Każdy stopień nierówny. Jak wchodzisz – miej się na baczności, równie „bezpieczne” byłoby chodzenie po dachu.

A małe dzieci? Kto miałby się nimi zająć? W „dietskich sadzikach”, czyli żłobkach, miejsc nie ma. Ich rodzice budują ustrój powszechnego szczęścia i zgodnie z przesłaniem komunistów – wszystkim po równo – otrzymują niewiele.

Kierownik robót obwozi mnie po budowanych przez firmę przechowalniach. Znów lawirujemy między niesamowitymi dziurami i kamieniami. I to w centrum miasteczek! Chodniki i krawężniki, jeśli w ogóle są, to wykoślawione i zniszczone. Wokoło smutny krajobraz ziemi pozbawionej choćby kawałka zieleni. Wertepy porośnięte pożółkłą trawą, krzyżujące się drogi gruntowe prowadzą nie wiadomo dokąd. Martwy step rozciąga się po horyzont, poorany kołami ciężarówek, tak głęboko, że żiguli wpada w dziury i koleiny aż po osie, tańczy, podskakuje, a jazda co chwilę odbywa się w niepożądanym kierunku. I nie ma końca. Albo ten koniec będzie zaraz, jak urwie się zawieszenie.

Kierownik mówi:

– A o kontrakty niech się pan nie martwi. Zapomnieli o wodzie, doprowadzą ją do naszych przechowalni nie wcześniej niż za trzy lata. Do tego czasu wszystkie gwarancje wygasną.

Na stepie w wypełnionych wodą zagłębieniach pływają dziwne ryby. To hybrydy o pokraccznych kształtach. Miejscowi łowią je, pomimo tego, że są zdegenerowane genetycznie przez chemicznie skażone środowisko. Wiadomo, rejon doniecki to przemysł ciężki, huty, zakłady zbrojeniowe, kopalnie węgla i rud metali. Ale coś jeść trzeba.

Dokąd nie pojedziemy – wszystkie, dosłownie wszystkie budynki są niewykończone, oddane jakby w stanie surowym. I funkcjonują, jakby nikomu to nie przeszkadzało, a nawet tak miało być. Ściany bloków nie spotykają się pod kątem prostym, widać szczeliny między płytami, ziejące pustką. Przez zamknięte okna hula wiatr. Drzwi do mieszkań mają takie szpary, że można nie tylko swobodnie słuchać treść toczących się rozmów, ale i... podglądać. Jak żyją mieszkańcy bloków? – nieskomplikowanie, bo co ze sobą zrobić, gdy wokół nie ma nic. W pracy i w domu – pijaństwo i okazjonalny seks, bez poszanowania dla kobiety, która oczywiście z nadanego jej statusu sprawy sobie nie zdaje. Jej мамę ojciec traktował jeszcze gorzej.

Marzy sobie taka, powiedzmy Zina, o jakimś facecie, którego zapamiętała z filmu, a tu co dzień dopada ją ten sam Wowa śmierdzący potem i brudem. Rzuca się na nią, zanim umyje się i coś zje. Wowa jednak swoje wie, bo i tak jeść prawie nie ma co, a rdzawą wodę, której w obwodzie jest jak na lekarstwo, puszcza do rur, jak co dzień, między 18.45 a 19.30.

Cóż, lepiej teraz, już, bo później wodę wyłączą, a i prąd może też. We łbie się kręci i spać się chce, więc po co prąd. W blokach, choć mają siedem pięt, wind nie zrobili. Na taki luksus władz nie stać. Zresztą i prądu jest za mało, a ile go taka winda zżera?! – ho, ho, ho! A winda – z powodu ciągłych wyłączeń prądu albo

awarii – stawałaby często między piętrami. Kto by uwięzionych ratował? Wieczorem całe miasto ledwo się na nogach trzyma.

Zina wie, że jak trafi się jakiś facet nią zainteresowany, który choć trochę kultury ma i prezenty daje, nie ma co się wahać. Więcej okazji może nie być. I hulać z nim będzie, póki Wowa do domu nie wróci. Będzie co wspominać, a i Wowa na tym nie straci, dom w końcu będzie trochę bogatszy. I maluchom coś się dostanie. A że z tego hulania może dzieciak być – co za różnica, jeden więcej. Wowa chla i na oczy prawie nie widzi, więc skąd będzie wiedział, że to nie jego? Wszystkie sąsiadki będą jej zazdrościć adoratora.

A co się stanie, gdy Zina wpadnie w oko Polakowi z pobliskiej budowy? Nietrudno odgadnąć, co pomyśli, gdy dostanie duży bukiet kwiatów! Nie spotkało jej to od lat, a tu i ciuszki za dolary i... ech... świat zawirował!!! A Polak pięknie mówi, czego to on dla niej nie zrobi, dokąd nie zawiezie. Zina po raz pierwszy jest szczęśliwa. Świat ją wreszcie zauważył, a ona tak go pragnie. Obwód doniecki ma niewiele cerkwi, nie ma tu niczego, co przypominałoby dziesięć przykazań. Co robić, kiedy wokół nie ma nic fajnego? Pustka. Coś Zina musi robić z czasem i pragnieniem szczęścia.

A zakochany polski robotnik? Dobrze mu tu i teraz, a co potem? Jak zwykle – nastąpi koniec umowy i wróci do domu. A w Polsce do szefa eksportu zgłaszają się zdenerwowane żony pracowników. Nic się nie ukryje, bo w listach do swoich partnerek koledzy piszą o „wyczynach” kumpli z budowy, a te z „dobrego serca” informują o tym te „poszkodowane”. Mnożą się prośby o natychmiastowe ściągnięcie męża do kraju. Odpowiedź jest zawsze taka sama. To mąż podpisał umowę i wróci, kiedy umowa wygaśnie. Nie mamy środków na nieplanowane przeloty. I życie toczy się dalej.

INNY ŚWIAT

Akt pierwszy. Scena pierwsza

– Patrycjjo, wiesz coś o Roguskich?

– Niewiele, od czasu jak trafili do izolacji w zakładzie w górach, raz przekazali tekstową wiadomość. Wtedy jeszcze funkcjonowały esemesy. Napisali, że są w oddzielnych salkach, rzadko widują się ze sobą, tylko podczas przeglądów i to przypadkiem. Dostają specjalne posiłki, jakąś papkę bez smaku, jak kiedyś kosmonauci. To już cztery lata... Oni do naszej strefy nie wrócą. Po tym, jak zachorowali, są królikami doświadczalnymi. Wyleczyli ich tylko po to, żeby wszczepić inne wirusy i eksperymentować. To mutanty, Krystian...

– Cóż, nie wiodą wolnego życia. Pamiętasz, opowiadałaś mi, że dawniej w weekendy jeździli konno, hen przed siebie?

– Tak, ale wtedy nie było stref. Cwał, galop i w las, po łąkach, wzgórzach. Wiesz, że to już nie wróci.

– No a my? Jak nazwiesz nasze obecne życie? Straciliśmy wolność w momencie, gdy wszczepili nam te cholerne chipy. Dobrze, że mam ciebie.

– Krystian, masz rację, jesteśmy razem, ale... czy jesteś pewien, że to co nas łączy, wynika z naszej woli? Bo ja nie mam pewności. Ciągłe myślę o tacie i Robercie. Co się z nimi dzieje? Czy te dwa zielone światełka na ekraniku cyfryzera to prawda? I ta informacja ma mi wystarczyć?!

Akt pierwszy. Scena druga

Patrycja pisze coś, a na dużym ekranie przesuwają się słowa:

„Piszę, choć wiem, że pewnie nikt mojego opisu nie przeczyta. Zaraz wymaże go komputer, który cyklicznie sprawdza treści. Nie mam połączenia z siecią. Wszyscy z dolnej strefy nie mają. Media nie są dostępne dla day i night laborers. Ci z górnej strefy korzystają z nich i wiedzą wszystko. Chipy umożliwiają im kontrolę każdego mieszkańca dolnej zony. Człowiek stał się elementem w ich sieci, sterowanym przez przypisaną mu indywidualną aplikację.

Dopóki nie stymulowali bólem, można było wytrzymać. Wyznaczają nam trasy i korytarze. Kiedyś zmiana kierunku obywatela się bez natychmiastowej kary. A teraz ból rozsadza czaszkę. Pracujemy jak maszyny, do tego bez gwarancji, czy dożyjemy jutra. Wykonujemy zadania według wyznaczonego programu, który umożliwia i nadzoruje ten szpieg zainstalowany w naszym mózgu. Jesteśmy najniższym poziomem strategicznym, poddają nas częstym korektom.

Zmiana celów decyduje o losach day i night laborers. Rok 2022 i kolejne zmieniły wszystko. Dziś z pokładów stacji orbitalnych lecących w kosmosie widać, że nasza planeta nie jest rozświetlona jak dawniej. Brak na niej milionów punktów, świadectw tętniących życiem, migocących aglomeracji zajmujących przed laty jej wielkie połacie. Jest ciemność. Świat po pandemii, wstrząsie klimatycznym, energetycznym, które zmieniły reguły gry na Ziemi, funkcjonuje inaczej. Nikt z nas na poziomie niższym nie wie, ile jednostek z siedmiomiliardowej populacji przetrwało. Rzędna terenu powyżej pięćdziesięciu metrów nad dawnym poziomem morza dawała mieszkańcom położonych tam obszarów szansę

przeżycia. Woda zalała tereny nadmorskie i wdarła się w głąb lądu, nowa mapa kraju szokuje.

Mój dzień zaczyna się od silnego śródczaszkowego impulsu, wyemitowanego przez górną strefę. Jego wysoka tonacja wybudza natychmiast. Na umycie się i przebranie jest zaledwie piętnaście minut. Kolejny kwadrans na przygotowanie i zjedzenie posiłku. Często spoglądam na ekranik. Widzę tam punkty, od których zależy wszystko. Do busa mogę wejść tylko w miejscu wyznaczonym dla mnie. System rozpoznaje osobę i pobiera pięć punktów. Słyszę wtedy dźwięk przypominający odgłos kamienia wpadającego do wody. Jazda do magazynu, w którym pracuję, zawsze trwa dwadzieścia pięć minut.

Moim zadaniem jest obserwacja pracy maszyn segregujących paczki. Nie wiem, co w nich się znajduje, ani dokąd trafią. Są na nich symbole, które czyta system. Wędrują na ruchomych platformach, następnie, już niewidoczne, z dużą prędkością pędzą w labiryncie pneumatycznych kanałów. Śledzę pracę urządzeń, używam elektronicznych przycisków korekcyjnych. Za cały dzień pracy dostaję trzydzieści punktów. Tyle przekazują mi elektronicznie, widzę je na cyfryzerze.

Płacę za wszystko, za dojazd do pracy i powrót, za dwa posiłki, których zawartości nie znam. To pasty i coś, co zaledwie trochę przypomina dawne pieczywo. Na koniec dnia z lękiem patrzę na ekranik. Zapas punktów jest zawsze ten sam – dwa dni. Drżę o własne zdrowie – choroba oznaczać będzie wyzerowanie licznika – wtedy do chipa popłynie sygnał zatrzymania pracy wszystkich organów wewnętrznych. Odchodzimy w ułamku sekundy, tam gdzie się właśnie znajdujemy, często na oczach bliskich.

Słyszałam, że ci z górnej strefy mają ogromne ilości punktów, mogą i będą żyć wiecznie. Strefa górna to enklawa bezwzględnych właścicieli milionów punktów i strażników. Ich szczęście okupione jest naszym cierpieniem. Uśmiercenie człowieka nigdy nie było prostsze. Jesteśmy bezsilni. Poszukując rozrywek, przegapiliśmy wolność, demokrację, daliśmy się zwieść iluzorycznymi korzyściami – dodatkami socjalnymi, milionami mieszkań, aut elektrycznych, mirażami, z których żadne się nie spełniły. Historia zakpiła z nas, kolejny raz uśpiono nas wizją powszechnego dobrobytu. Nie zauważyliśmy chwili, po której już nie było odwrotu – umieszczono nas w getcie. Nasze przeżycie zależy od bezcennych punktów. Są teraz jedyną ważną walutą w naszym życiu, w którym wszystko podporządkowane jest przetrwaniu.

Żyjemy z dnia na dzień, w biegu, ryzykujemy, by zdobyć więcej punktów. Mnożą się kradzieże, zabójstwa. Nie ma prawa równego dla wszystkich i sprawiedliwości. Podobno nas, mieszkańców dolnej strefy, nazywają „gorszym sortem”, mają nas za podludzi. To faszyci. Zagarniają wszystko dla siebie, my dostajemy ilość punktów na poziomie egzystencjalnego minimum. Za nieposłuszeństwo eliminują nas jednym impulsem.

Funkcjonuję jak robot. Moje myśli są przekierowywane do komputera centralnego, to on je „prostuje” – sprawia, że bezwolnie wykonuję indywidualny program. Od chipa nie ma ucieczki. Znajduje się głęboko w zwojach mózgu, każda próba jego usunięcia to ryzyko natychmiastowej śmierci. Ci z górnej strefy twierdzą, że nasze organizmy bez chipa nie są zdolne samodzielnie funkcjonować. Słabsze jednostki muszą umierać, by silniejsze mogły żyć wiecznie.

Nikt nie ma odwagi, aby przeciwstawić systemowi, zaryzykować. Są chwile, kiedy odnoszę wrażenie, prawdopodobnie złudne, że decyduję o czymś sama. Tak poznałam Krystiana. Jest wysoki, przystojny i pogodny z natury. Nie mam pewności, czy zbliżenie z nim to była moja decyzja, czy nie przypisano nas sobie, uznając za wariant optymalny fakt, że dwie buntownicze jednostki zneutralizują wzajemnie swoje cechy niepożądane dla systemu.

Cała konstrukcja stref miała swoją skrywaną genezę w chwili wybuchu pandemii w roku 2019, ujawnionej w roku 2020. Stopniowo wprowadzano ograniczenia, które wydawały się uzasadnione, choć niski wskaźnik umieralności w porównaniu z pospolitą grypą prawdopodobnie w ogóle ich nie uzasadniał. Społeczeństwa uległy psychozie strachu. Dostosowywały się do kolejnych, coraz dalej idących ograniczeń, którym z coraz większą swobodą i w rosnącym tempie nadawano charakter stałych, permanentnie obowiązujących norm prawnych.

Ingerencja aparatu państwa przekroczyła granice cywilizacyjne. Odebrano ludziom możliwość stanowienia o sobie, i w końcu, po kilku latach, dokonano podziału na dwie strefy – dolną pracującą i górną – kierowniczą. Z czasem oddzielono je od siebie nie tylko za pomocą norm prawnych, ale także materialnie, liniami betonowych murów i chronionych przejazdów nie do sforsowania.

Złośliwego wirusa wyprodukowano w tajnym laboratorium w celu radykalnego zmniejszenia populacji. Wyliminowano doszczętnie słabsze jednostki stanowiące obciążenie dla budżetów państw. Ograniczono znacząco skalę eksploatacji zasobów naturalnych w imię ekologii. Analiza wskazała, że ten sposób regulacji nadmiernej liczby ludzi będzie najskuteczniejszy, nie spowoduje oskarżeń o eksterminację. Nie wywoła skali strat, która istotnie

naruszyłyby materialny dorobek ludzkości. Przewidziano czasową bessę – dekadę załamania gospodarczego. Sztuczna pandemia i wyolbrzymione zagrożenia ekologiczne stały się fundamentem uzasadniającym realizację planu przebudowy, wprowadzenia nowych, drastycznych reguł funkcjonowania i podziału społeczeństw.

Ten tajny plan uzgodniony na początku 2019 roku podczas spotkania grupy decydentów – oligarchów rządzących światem, doprowadził do powstania w obszarze każdego państwa dwóch stref. Współpraca i komunikacja pomiędzy strefami górnymi poszczególnych państw jest kontynuowana. W każdym możliwym wymiarze – gospodarczym, ekonomicznym, politycznym, militarnym i medialnym. Samoloty latają między strefami górnymi. Mieszkańcy dolnych stref żyją w zamkniętych regionach, sterowani i kontrolowani, nie mając możliwości komunikacji ze światem zewnętrznym”.

Akt drugi. Scena pierwsza

Patrycję i Krystiana budzi głos, który dociera do ich mózgow. Oboje są przerażeni – trzymają się za głowy, dźwięk słów rozsądza ich czaszki. Słyszymy go nawet my:

„Mieszkańcy strefy dolnej! Zapewniamy wam komfort życia bez problemów i trosk. W dobie obecnego podziału i cyfryzacji świata z poziomu górnego ułatwiamy wam funkcjonowanie i podejmowanie właściwych decyzji. System sterujący zapewnia optymalne wykorzystanie zasobów przyrody i waszej energii. Jesteście stymulowani i mobilizowani w racjonalny sposób, dzięki niemu wiecie, jak żyć, jak nadążyć za zmianami, jak uczestniczyć w postępie. Otrzymujecie impulsy rozwoju.

Zachowajcie godność istoty ludzkiej i współpracujcie na poziomie labor. Nie uciekniemy od zmian technologicznych i cywilizacyjnych. One generują rosnące koszty, wasze codzienne wydatki wzrosną. Możecie je pokryć dodatkowymi godzinami pracy. Obserwujcie ekrany życia waszych cyfryzerów. Tam są szczegółowe informacje”.

Akt drugi. Scena druga

– Krystian, słyszałeś? Zamęczą nas, od tego systemu nie ma ucieczki.

– Tak, wiesz, że od lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku elektronika stopniowo zabija ludzkość? Kierunek postępujących zmian jest bardzo wyraźny. Mówiąc precyzyjniej, cyfryzacja zabija to, co wcześniej stanowiło o istocie człowieczeństwa. Myślę o kontaktach międzyludzkich, relacjach w rodzinie, między przyjaciółmi, znajomymi, sąsiadami. O relacjach w pracy. Najpierw zamknęliśmy się w wirtualnych światach swoich iluzji. Własna rozrywka i przyjemności były na pierwszym miejscu. Do tego stopnia, że nie zauważyliśmy, kiedy odebrano nam prawo do samostanowienia, demokrację, wolność czynów i słowa.

– Masz rację – powiedziała z przekonaniem – gdyby nie wszechobecna cyfryzacja wykorzystana przez żądnych władzy i pieniądza nasz świat byłby inny, tradycyjny, oparty o prawdziwe wartości. Funkcjonując zdalnie, nie przeciwstawimy się górnej strefie. Mają tam wszystkie narzędzia i środki wymuszające bezwzględne posłuszeństwo. System zmarnuje nasze życie.

– Patrycjjo, nie zwlekajmy, nie ryzykujemy, czas do pracy. Punkty to życie. Bus na nas nie poczeka. Nie chcę skracać dystansu do śmierci, jeden dzień zapasu to zbyt mało, mam tylko sześćdziesiąt punktów.

Od autora

Czy dostrzeżliście Państwo, że to opowiadanie nie jest wizją odległej przyszłości (SF), a prawdopodobną, rozwiniętą na bazie niedawnej przeszłości i dramatycznej rzeczywistości, logicznie przewidywalną wersją tego, co nas czeka?

TUNEL

Pociąg opuścił stację Czeliabińsk. W przedziale siedzieli dwaj mężczyźni. Młody blondyn w dresie i adidasach oraz sporo starszy od niego brunet z pierwszymi oznakami siwizny, ubrany w skórzaną kurtkę.

Blondyn przedstawił się:

– Jestem Sasza.

Mimo że nie usłyszał odpowiedzi, zapytał:

– Pan dokąd?

– Nic ci do tego – opryskliwie odpowiedział brunet.

Blondyn nie dawał za wygraną:

– Pytam, bo pana walizka jest wielka, więc gdzieś daleko?

Głośny stuk wagonów pędzących po torze nieco utrudniał rozmowę.

Brunet, właściciel walizki odwarknął:

– Czy ja interesuję się twoim bagażem? Mnie nie obchodzi, dokąd jedziesz. Spadaj.

Blondyn kontynuował niezrażony:

– Widzi pan, ja mam tylko teczkę, a jadę aż do Kemerowa. I co, nie wydaje się to dziwne? A pan z tą wielką walizką może jedzie tylko na przedmieście? To byłoby zabawne.

Rozległ się przeciągły gwizd parowozu, wibrujący w uszach.

Gdy ustał, brunet odpowiedział:

– Nic ci do tego, nie zrozumiałeś?! Zostaw mnie w spokoju!

– Mogę panu pomóc umieścić ją na półce! – zaproponował młody facet ubrany na sportowo.

Brunet niemal wykrzyknął:

– Ręce precz od mojego bagażu!
– Nie chcę być niemiły, ale... nie będę mógł przejść, a muszę wyjść do toalety – stwierdził blondyn i dodał: – pomogę panu ją podnieść.

Brunet zareagował gwałtownie:

– Jeśli jej dotkniesz, to pożałujesz! Nie jadę sam, jadę z żoną.

Blondyn zaczął uważnie przyglądać się walizce należącej do współpasażera i zauważył, że pod nią zaczęła się tworzyć plama. Migotające promienie światła wpadające przez okno pędzącego pociągu utrudniały mu widzenie.

Brunet spostrzegł, że z jego walizki wypływa powoli strużka krwi, a plama na podłodze powiększa się.

Blondyn bez wahania wypalił:

– Ma pan pecha, coś pękło, bo widzę, że robi się pod nią mokro!

W tym momencie pociąg wjechał w tunel. Huk pędzącego pociągu wzrósł gwałtownie i zapanowała ciemność.

Nagle pęd powietrza i przeraźliwy łoskot wdarły się do przedziału.

Po minucie, gdy pociąg wyjeżdżał z tunelu, w przedziale siedział tylko brunet, bez bagażu. Zaczął czytać gazetę.

Towarzyszyło mu uczucie ulgi, a przez głowę przemknęła myśl: aż pięć godzin do najbliższej stacji, nareszcie będę mógł pospać.

JAK KUBA BOGU...

– Jadziu, boli mnie brzuch, kiedy pójdziesz ze mną do doktora?

– Mamo! mam mnóstwo spraw w tym tygodniu, nie znajduję czasu. To pewnie dlatego, że podjadasz słodycze. Dieta by Ci się przydała. I ciągle śpisz na prawym boku. Zadbaj o siebie.

– Ależ Jadziu... przez ten ból prawie nic nie jem... jestem głodna. Nie ma w domu żadnych soków... wiesz, że lubię wiśniowy, chyba rok go nie piłam. I kakao nie ma, i galaretek, mogłabyś czasem o mnie pomyśleć... ja nawet nie mam siły wstać z łóżka...

– Oj nudzi mama, już wychodzę, wrócę późno. Zbyszek przyjdzie po pracy, to mamie coś da.

Rozległ się trzask drzwi. Pani Zosia usłyszała zgrzyt klucza w zamku.

A więc poszła... pomyślała i zrezygnowana przymknęła oczy.

Już był zmierzch, gdy Zbyszek wszedł do domu. Zdjął płaszcz, buty i powędrował do kuchni. Rzucił okiem na teściową, która spała na skraju łóżka. Ech, wzięłaby się za jakąś robotę! – pomyślał.

Stuk naczyń i szum wody gotującej się w czajniku obudziły panią Zofię.

– Zbyszek! Zbyszek! – zawołała. – Bardzo boli mnie brzuch...

– Co mama znów wymyśla...

– Do lekarza mnie zawieźcie, proszę.

– Mama codziennie swoje... jest Apap w apteczce, trzeba wziąć i będzie po krzyku... teraz idę do łazienki, dzisiaj w robocie dostałem w kość, muszę się wykąpać.

Ten scenariusz powtarzał się niemal codziennie. Pani Zofia stopniowo podupadała na zdrowiu. O tym, że pilnie potrzebuje pomocy, sąsiedzi nie wiedzieli. Prawie niczego nie jadła, sama nie była w stanie sprawnie poruszać się po mieszkaniu.

Obok niej leżał pilot do telewizora, a na stoliku przy łóżku stał telefon.

Na ekranie nieustannie pojawiały się wciąż nowe reklamy.

Nadeszła chwila, gdy pani Zofia osamotniona w swojej chorobie, powzięła decyzję.

Sąsiadka *vis à vis* zauważyła, że przez ostatni tydzień panią Zofię odwiedziło kilka osób. Zdziwiła się. Nigdy wcześniej pani Zofia sama nie przyjmowała gości.

Któregoś dnia Jadzia i Zbyszek wrócili późno do domu i zastali martwą panią Zofię.

– Twoja mama przestała się męczyć – stwierdził Zbyszek.

Jadzia nic nie odpowiedziała...

Lekarz pogotowia stwierdził zgon z przyczyn naturalnych. Po pięciu dniach nastąpił pochówek zmarłej pani Zofii.

Małżonkowie postanowili wreszcie odnowić mieszkanie, które teraz stało się ich własnością. Zbyszek zdecydował się samodzielnie zrobić remont. Wziął tygodniowy urlop.

Pierwszego dnia, gdy stał na drabinie z pędzlem w ręku, ktoś zadzwonił do drzwi.

Gdy je otworzył, ujrzał kuriera z wielkim pudłem.

Pomyłka, powiedział, ale kurier nie ustąpił i wręczył mu je, dodając: to świetne garnki, pani Zofia na pewno będzie zadowolona.

Na nic zdały się sprzeciwy. Kurier poinformował go, że umowa nie przewiduje rezygnacji z zakupu. Zresztą, w czym problem?, dodał... spłata pierwszej raty dopiero w następnym miesiącu!

Kolejne dni przyniosły podobne niespodzianki.

Liczni dostawcy i kurierzy odwiedzali mieszkanie Jadzi i Zbyszka. Wkrótce w dwóch pokojach niemal zabrakło miejsca na kolejne przesyłki. O telewizor z wielkim ekranem oparty był perski dywan, obok dwudrzwiowej lodówki stała potężna pralko-suszarka, a za nią samosprzątający odkurzacz, trzyosobowa rozkładana kanapa, radio z kolumnami i masa innych cennych przedmiotów.

Za nic nie trzeba było płacić od razu. Raty były przesunięte w czasie. Zdesperowani małżonkowie podczas przeglądania szuflad w szafce pani Zofii znaleźli plik podpisanych przez nią umów kredytowych. Dowiedzieli się z nich, jakich kolejnych przesyłek mogą się spodziewać.

Był też krótki liścik, którego byli adresatami.

Pani Zofia napisała:

Żegnajcie Moi Drodzy! Nigdy nie zapomnę troski, jaką mnie otoczyliście. Postanowiłam odwdzińczyć się Wam za nią i myślę, że długo o mnie będziecie pamiętać.

Zofia – Wasza Mama i Teściowa

ROZTERKI DNIA POWSZEDNIEGO

Warto?

Gdy obiad robić pora,
rozterki mną targają,
produkty choć niesmaczne,
cenami powalają.

Robić? – nie robić?

Czy jestem głodny? Na pewno?

Wizja pracy i zmywania skutecznie zniechęca,
bilans kosztów nie zachęca.

Hm... – pomidorowa?

Więc policzmy:

woda, prąd, ryż, tomaty, czas, wysiłek,
(a już ze mnie nie osiłek),
i ta wizja – garów, naczyń, sztucców kupy,
po to tylko rozstawionych,
by zjeść jeden talerz zupy?!

Koszty, trudy, frajdy mało,
nie zjesz? nic by się nie stało!

W głowie mówi do mnie leń:

Zmień decyzję! Teraz zmień!

Nie ubędzie ci z lodówki,
zachowasz resztki gotówki,
przestań w samotności żreć,
alternatywę trzeba mieć.

Machnij ręką na to wszystko,
masz tuż obok legowisko,

uderz w kimono,
zostaniesz z mamoną.
Długo biłem się z myślami...
– mam tak czasami.
Teraz leżąc na kanapie,
po głowie się drapię,
policzyłem, lecz nie wszystko,
głupie chłopisko.
Pralkę włączyć będzie trzeba,
plamę sprać, co spadła z nieba,
krwawą plamę – ślad po zupie,
ślad decyzji – bardzo głupiej.

WILGA

Z wilgotnego drzewka,
co w Wildze
nad rzeczką Wilga wyrosło,
dojrzała wilga gościa – i myśli:
co u licha go tutaj nad Wilgę przyniosło,
i ze sprzętem wilgaśnym...
na wilgi poluje jak nic, pomyślała,
i wilgańskim sprytem wnet się wykazała,
na samiutkim szczycie, jak wilga uwielbia, się usadowiła,
i prawy półprofil wilga odsłoniła.
Co z wilgą dalej było,
wilgi wiedzą i Wy wiecie,
stała się popularną wilgą
w homo i wilganecie!

DO ANNY

Anno, masz imię, które jako jedyne z imion żeńskich kojarzy mi się ze wszystkim co piękne, dostojne, eleganckie i mądre. O żadnym imieniu nigdy nie pisałem, bo nie istniała taka wewnętrzna potrzeba. Retrospekcja moich spotkań z Tobą i innymi znanymi mi Annami wskazuje, że są one uosobieniem najlepszych cech. Podając rękę nowo poznanej Annie, zawsze doznaję poczucia wzajemnej życzliwości i sympatii. Odbieram czysty sygnał harmonii, łągodności, zrównoważonych uczuć i myśli oraz odpowiedzialności. Spośród dziewczyn i kobiet o tym magicznym imieniu – wszystkie, niezależnie od miejsca spotkania i różnych okoliczności, okazywały się osobami pełnymi uroku, wrażliwymi, spokojnymi, ambitnymi i uczciwymi. Współpracując z Annami, nigdy nie zawiodłem się, przeciwnie, doceniałem ich przygotowanie zawodowe, pracowitość, umiejętność unikania konfliktów. Z własnych obserwacji dostrzegam, że Anna to osoba ceniąca ognisko domowe – dobro rodziny, dzieci, męża. Zaradność Anny połączona z delikatnością to rzadkie współlistnienie cech, świadczące o tym, jak rzetelnie ma wokół siebie „poukładany” świat. I wpisuje się całą swoją osobą w piękno otaczającej Ją natury.

Droga Anno,
życzę Ci Pomyślności w Twoim Życiu, w Domu i Rodzinie, Świata, który umożliwi Ci zaprezentowanie wspaniałych cech, którymi obdarzył Ciebie los. I doceni je. Są tak bardzo ważne dla Twojego otoczenia.

MAZURSKI RESET

Czasem tak postępuję. Kiedy wokół siebie czuję gęstniejącą atmosferę i pragnę wytchnienia, rodzi się myśl, by zniknąć. Tak po prostu – przepaść bez wieści, choćby na jakiś czas. Nie widzieć i nie słyszeć, nie rozważać po wielekroć tych samych spraw, nie snuć domysłów, nie szperać w pamięci, wyłączyć się bez reszty. Wyrzucić z głowy bieżące problemy. Będzie i tak, co ma być, mój wpływ na przebieg zdarzeń jest niewielki. Uciec od ludzi. I mam na to swój sposób. Potrzebuję tylko dwóch rzeczy. To czas i... kajak.

Są takie miejsca, na które mogę liczyć, zawsze gotowe udzielić mi azylu, podczas wiosny, lata i jesieni – bez względu na porę dnia. Zdradzę jedno z nich pod warunkiem, że ten sekret zachowacie dla siebie.

Toń wody wydaje się nie mieć końca. Na horyzoncie przy dobrej widoczności ledwo widać cieniutkie pasczki trzciny i łądu, linie lasu i niewielkich wzgórz. Jeśli nie wieje wiatr, dziób kajaka wolno i niemal bezszelestnie rozcina gładką tafelkę wody. Gdy pogoda jest przyjazna, płynę zawieszony pomiędzy błękitnym niebem a bezmiarem spokojnej wody. Całą uwagę koncentruję na równomiernych pociągnięciach wiosłem, rytmicznych i efektywnych. Płynę ku punktowi wypatrzonemu na horyzoncie. Nie mam świadomości upływu czasu, jestem pochłonięty kontemplacją przyrody i doświadczam cudownej izolacji. Z tego komfortu czerpię siłę, tylko tutaj mogę oddychać pełną piersią. Nie są mi potrzebne obce emocje. W samotności doznaję jedności z przyrodą i poza tym nic nie ma dla mnie znaczenia.

Przestaję wiosłować. Wyciągam swoje ciało na dnie kajaka, rozluźniam mięśnie i patrzę na wolno płynące chmury. Mają kształty zwierząt, które przemieszczając się w przestworzach, zmieniają położenie, doganiają się, wyprzedzają, by razem przemierzać nieskończoną przestrzeń. To najpiękniejszy spektakl – bez zakończenia, bo wciąż pojawiają się nowi aktorzy, tworząc sceny, jakich nikt nigdy by nie wymyślił. Fantazja i wyobraźnia potęguje magię obrazów płynących po niebie.

Cisza. Przerywa ją nieoczekiwany plusk w wodzie. Unoszę głowę i widzę za burtą kajaka wibrujący zarys dużej ryby, dostojnie płynącej wśród zielonych wodorostów. Mimo ogromnej wodnej przestrzeni roślinność w tym miejscu sięga niemal powierzchni wody. Na dnie widać kamienie. Nie jest głęboko, co źle wróży rozpędzonym jachtom, jeśli nie respektują mapy przeszkód na szlaku wodnym. Mój kajak i ja lekceważymy je całkowicie. Co jakiś czas przerywa ciszę pisk i jazgot ptaków lecących gdzieś wysoko. Nie szybują tuż nad wodą, nie muszą obawiać się nagłej zmiany pogody. Zresztą jest mi wszystko jedno. Stanowię część przyrody i nie wiem, czy lewituję wśród chmur, czy też unosi mnie woda, której lekki chłód łagodzi wpływ promieni powoli zachodzącego słońca. Zamykam oczy. Relaks w zenicie. Nikt i nic nie zakłóca spokoju panującego wokół.

Zamyślam się i przemykam oczy. Powraca obraz spotkania z Bogumiłem Kobielą i jego ukochaną Małgosią przy wierzbach na początku drogi. Wkrótce potem czarne bmw, obok którego teraz stoją, zniszczy ich życie.

Wspomnienia gasną, czas ruszyć naprzód. Mijam Szeroki Ostrów – wysoki, kilkunastometrowy klif, za którym po wąskiej, wyboistej grobli wiedzie droga do Zdor. Dzisiaj to punkt widokowy i biwaki.

Jestem wśród szuwarów trzciniowych i oczeretów, niedaleko wyspy Czarci Ostrów – miejsca kultu Galindów, później strategicznego punktu Fortu Lyck, niemal twierdzy. Jeśli utrzymam kierunek, dopłynę do Prania. Ale nie szukam z nikim kontaktu. Zawracam na północ. Zrywa się lekki wiatr, wieje mi w plecy. Wiem, co to za wspaniały prezent. Zdarzało mi się płynąć pod wiatr lub zmagać z bocznymi porywami. To jest dopiero szkoła przetrwania. Jezioro w każdej chwili może się rozkołysać i najeździć wysokimi falami. To ogromna, największa w Polsce otwarta, słodkowodna, nieosłonięta przestrzeń.

Jeśli stawać w szranki z żywiołem – to właśnie tutaj. Bo prawdziwy reset zapewnia również walka z siłami przyrody. Od tego miejsca oczekuję nie tylko spokoju, ale i emocji, survivalu. Przetrywam nawałnicę bez niczyjej pomocy. Wiem, że poradzę sobie wśród pędzących fal, robiłem to wielokrotnie. Aby utrzymać kierunek, pracuję jedną ręką, przeciwną do wiatru. To duży wysiłek, mięśnie słabną. Poddanie się grozi wywrotką. Kajak zepchnięty w trzciny to niebezpieczeństwo. Nie jest łatwo wyprowadzić go na rozkołysane jezioro.

Gwałtowny szkwał na wodzie to reset nie gorszy od ciszy. Walka z falami, wiatrem i deszczem hartuje, buduje wiarę we własną odporność na przeciwności. Liczą się siła, umiejętności i wytrwałość. Na akwencie, po którym płynę i jem swoje niedźwiedzie mięso, jest stacja ratownictwa wodnego – w Okartowie. Port Schronienia.

Kiedy tam zawijam, by schronić się przed wielkimi falami, ratownicy posilają się przy stole.

– Skąd się pan wziął, u licha? – pytają.

– Fale mnie do was przyniosły – odpowiadam.

– Ma pan szczęście – słyszę – dziś pod Popielnem wywrócił się jacht, dwie osoby utonęły.

Proszę o herbatę i sandwich. Po godzinie wracają mi siły, nie chcę tu tkwić przez całą noc. Nic im nie mówiąc, wymykam się z drewnianego budynku. Idę do kajaka wyciągniętego na brzeg. Przy pomocy znów dopada mnie wiatr i deszcz. Mimo zapadającego zmierzchu, przy silnych podmuchach, ale nieco mniejszych falach, ruszam samotnie do miejsca, z którego wyruszyłem przed południem. Płynę kajakiem na wschód. Trzymam się blisko brzegu, co wydłuża trasę. Zmagania trwają ponad godzinę. Tracę czucie w lewej ręce. W końcu dopływam.

Przez chwilę dochodzę do siebie, zrzucam przemoczone rzeczy. Jem mazurską kolację z przyjaciółmi, pijemy wódkę. Wszystko smakuje jak diabli. Burza nie ustępuje, wiatr i deszcz usiłują sforsować okna. Ciemność rozrywają błyski piorunów. Mam na sobie suche ubranie i w końcu nie trzęsę się z zimna.

Uwierzcie mi, rozległa przestrzeń, wodna nieprzewidywalna otchłań przynosi najprawdziwszy reset. Reset, którego nic nie zastąpi.

Nie pomijajcie jeziora Śniardwy na trasach swoich podróży. Ono zawsze na was czeka.

CARPE DIEM

CHWYTAJ DZIEŃ

*(Reminiscencje po obejrzeniu serialu Outlander
na platformie Netflix)*

Miły dotyk poduszki od razu uruchamia zasypianie... zasłużony odpoczynek po ciężkim dniu. Mija kilka minut, sen staje się głębski... wpadam w jakąś otchłań... lewituję z ogromną prędkością wśród rozmazanych obrazów. Wśród dźwięków, które słyszę po raz pierwszy. Jestem w przestrzeni, która niewiele przypomina tą ziemską, znaną mi od dzieciństwa.

Biała mgła spowija wszystko wokół, nie wiem, gdzie jestem.

Zamykam oczy... Gdy je otwieram... leżę na piasku, a obok mnie płynie strumień. Krystalicznie czysta woda szemrze wśród wystających kamieni. Czuję suchość w ustach, nabieram ją w dłoń... jest ożywcza, ma niepowtarzalny smak, jakiego nigdy nie zaznałem.

Brzeg zarastają bujne, rozrośnięte krzaki, zieleń miesza się z bielą kwiatów i czerwienią zwisających jagód. Za krzewami rosną potężne drzewa, to dziki, mieszany las.

Ze zdziwieniem zauważam, że moje dłonie są jakieś inne, silne i spracowane, wystają z ciemnych, grubych i sztywnych rękawów. Mam na sobie kaftan przepasany długim pasem skóry. Spodnie, utkane ze sznurka, są poszarpane. Stopy owija coś, co nie przypomina butów, wyczuwam pod nimi nierówności.

Staję na piasku i obserwuję miejsce, w którym nagle się znalazłem. Pochylam się nad strumieniem, chcąc ugasić niekończące się pragnienie. W lustrze płynącej wody widzę twarz. Długie włosy sięgają ramion, oczy okalają krzaczaste brwi, a usta – obfita broda. Patrzę na swój wizerunek i ogarnia mnie przerażenie.

Będę funkcjonować w świecie sprzed setek, a może i tysięcy lat? Nie znam reguł tego życia, czy zdołam tu odtworzyć cokolwiek ze świata XXI wieku?

Siadam na brzegu, zamykam oczy i usiłuję zebrać rozbiegane myśli. Nie wiem, jak długo to trwa... kiedy unoszę powieki, dostrzegam promyki słońca w szczelinach rolet... moja głowa spoczywa na jedwabnej poduszce. A więc... jestem znowu w swoim świecie... leżąc, czuję ulgę, jednak nie daje mi spokoju myśl – czy to była wiadomość o tym, co czeka nas po życiu? Cofniemy się w odległą przeszłość... czy powędrujemy w nieznaną przyszłość, co człowieka czeka po śmierci? Czy eksperyment naukowy, który wykazał, że w chwili naszego odejścia tracimy na wadze dwadzieścia sześć gramów, określił masę naszej duszy? Cóż, tego nie wiemy.

Carpe diem – chwytaj dzień, nie marnuj mijających chwil... Te słowa pieśni Horacego powinny być filozofią naszego życia, albowiem nikt się nie dowie, jaką nam przyszłość zgotują bogowie...

Koniec

Spis treści

Nadzieja	7
Śnieg w Nowy Rok	9
Przypadek Pana Gracjana	11
Gdzie jest Dziadek?	15
Szkocki zamek	19
Z ziemi włoskiej	21
Internetowy zakup	23
Egipt – półwysep Synaj	27
Czy wszystko jest dobrze?	29
Szare pudełko z Australii	39
Trudny powrót	45
Anonimowy bohater	49
Mróz jest wielkim artystą	53
Oczami chłopca z przedmieścia	59
<i>Hakuna Matata</i> Wszystko dobrze (Kenia)	63
Tylko z biletem	71
Z pamiętnika turysty	77
Emocje nie tylko artystyczne	83
Magiczna leśniczówka	89
Prokurator	97
Z wokandy	101
Transport, który zniknął, czyli ciężarówka widmo	109
Etażowa na etacie	119
Pomarańczowe zmiany – tu nie	125
Inny Świat	131
Tunel	139
Jak Kuba Bogu.... ..	141
Rozterki dnia powszedniego	145
Wilga	147
Do Anny	149
Mazurski reset	151
<i>Carpe Diem</i> Chwytaj dzień	155

